2520
C

Nr. Książki 2320 | Autor Wilkońska, P.

poznański

BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier.
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie ślij palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

DEC. 1935 — 2M 347

C-2320
C.614.
C1591
Biblioteka i Muzeum
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P. A.
...Chicago, Ill...

2320

OBRAZEK POZNAŃSKI

C. 6114.

PIÓREM NASZKICOWAŁA

PAULINA z L. WILKOŃSKA.

Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnéj kobierce,
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące,
Czołem silą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie.
Ach! daremnie, bo nowa zwiru nasuwa się hydra —
Syną piaski z za morza burzą pędzone — to zakon!

Adam Mickiewicz.

Biblioteka i Muzeum
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P. A.
...Chicago, Ill...
3255

LIPSK,
EDWARD WENGLER.
1857.

DO LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Cokolwiek czynisz, cokolwiek mówisz, czyń i mów z dobrą wiarą. Dla niej wszystko ci przebaczym!

August Cieszkowski.
(w Bibliotece warszawskiej o dzisiejszej powieści.)

Gdym w pogadance listowej wspomniała, że tłómaczę powieść z angielskiego Ellen Middleton, odpisałeś mi, Panie: »Znam ten romans, piękny jest i zapewne będzie skwapliwie przez publiczność czytany. Ale wolałbym żeby Pani pisała jaką powieść z życia dzisiejszego poznańskiego. Ta prowincya ma swoję odrębną cechę itd. .....«

Ta zachęta była mi nie raz obecną. Później powtorzono mi tóż samo kilkakrotnie — i wreszcie wzięłam się do napisania Obrazku poznańskiego.

Nadwiślańskie strony więcéj mi są znajome aniżeli księstwo. Tam więcéj mam stosunków i serdecznie do nich przylgnęłam. Okolice Kozienic — Puław —

Czarnolosu — Garwolina — nader miłe, nader drogie — nazawsze drogie — pozostawiły wrażenia. Ale Poznańskie jest kolebką moją: tutaj pierwszy zmówiłam paciorek — tutaj pierwszą zanuciłam piosenkę — tutaj łzę pierwszą wylałam.

Z chęcią i obawą zarazem wzięłam pióro do ręki — z obawą, by o cokolwiek-bądź niezręcznie nie trącić. Poznałam nadto jak wielkie, jak arcy-wielkie nastręczały się trudności, by wiernie oddać to, co okiem serca chwytałam — i jak to wiele potrzeba było pominąć! — To też szkicowałam tylko.

Każdy powieścio-pisarz — choćby i najlichszy — przez zwykły prechodzi zarzut, że kogoś ze żyjących kopijował a raczej w karykaturze przedstawił. Przy tej więc sposobności, z góry, uroczyście oświadczam, że kreśląc Obrazek poznański nikogo a nikogo na myśli nie miałam. Wszakżeż to nigdy zadaniem piszącego być nie powinno, i nie taki sobie cel obrałam.

Inne ziemie polskie niemal wcale księstwa poznańskiego nie znają i mało co o niem wiedzą: oby więc mój obrazek, lubo słabą rysowany ręką, w zawiślańskich i nadniemeńskich krajach, jako nowinka, względne znalazł przyjęcie!

Siekierki, P. W. —
2. stycznia 1857 r.

1.

I ruszył —
Pewien że jego łez nie zobaczą,
I znać marzenie zaczął powoli
O nowém życiu — o inszéj doli.
Syrakomla.

Skowronek w czystém polu powitalną zawodził piosenkę; bociany klekocąc po jasném szybowały przestworzu; zieleniły się łąki i pola; lasy weselszą przyoblekły barwę i dzień pogodny, wesoły, słoneczny, śliczną, młodziuchną popieścił wiosnę.

Gęsto po żyznych łanach posiani hubiarze [1]) nadając okolicy cechę całkiem odrębną od innych prowincyj polskich, świadczą, że jesteśmy w Poznańskiem. Te porządnie zabudowane zagrody, ocienione w drzewa, zagrodzone płotami, jakkolwiek lepszego bytu włościan dowodzą, nasuwają wszelako odosobnieniem swojem myśl niemiłą — niby tęskną

1) Hubiarze — od niemieckiego wyrazu Hube — chłopi oczyńszowani.

i smutną —, jakowegoś rozdziału: niełączenia się w jedno ogniwo. Gdzieniegdzie dach czerwony jaskrawo wśród młodéj zieleni wystrzeli — ale wdzięczniéj, więcéj błogo wabi widok szarego kościołka wpośród kilku wysoko wybiegłych drzewin; Bożamęka ponad drogą w głogowym wieńcu; wioska o słomianych strzechach, do któréj droga topolami sadzona wiedzie, biały dworzec ponad sinem jeziorem, szaremi kryty szkudłami,[1]) — bo to jest swojski obrazek.

Wązką drożką od jednéj z włości hubiarskich toczył się wóz chłopski, licznemi założony sprzętami: ciągnęła go licha szkapina, którą kilkunastoletni chłopak poganiał. Obok szła kobieta, i raz po raz zalewała się łzami. Daléj dziesięcioletni chłopiec parę pędził świnick, i to zagadał do wiernego kruczka, ulubionego towarzysza, to swobodno dziecięcym wzrokiem śledził szparki lot Wosia.[2]) A na przodzie szedł wieśniak lat średnich, w granatową świąteczną przybrany suknię, w czapce głęboko na czoło wciśniętéj, z kijem w ręku, ponuro patrząc przed siebie.

Jednocześnie z drugiéj strony, ku opuszczonéj

1) szkudły — gonty.
2) Woś — tak nazywają bociana.

zagrodzie inna wcale zmierzała drożyna: maleńki wózek dwoma ciągniony psami, zapchany pościelą, na której troje dzieci siedziało; dwoje ludzi wychudłych, ogorzałych, kobieta i mężczyzna, jakieś dźwigając toboły; zaś przed niemi zwolna jechał mężczyzna na koniu, w szarym surducie i czapce z rydelkiem — znać nowych gospodarzy na nowe osiedliny prowadził.

Pierwsza gromadka minęła sąsiednią hubę, jaśniejącą nowym czerwonym dachem, i skierowała się dalej przez pole. Kobieta spojrzała raz jeszcze ku siedzibie, którą pożegnała, zakryła twarz fartuchem i znowu rzewnemi załała się łzami.

— I co to poradzi, Marysiu! Trudna rada! — zwrócił się mąż ku niej, bo znać i on pożegnawcze spojrzenie w tę samę był wysłał stronę i łzy żony zobaczył. — Pochwalmy lepiej pana Boga, to dobry ojciec w niebie poratuje nas w tej niedoli. Boża wola, Boże dopuszczenie, kobieto moja! — i żałosne stłumił westchnienie.

W milczeniu stanęli na krzyżujących się drogach — i przeżegnali się pobożnie.

— Idźciesz więc teraz z Bogiem do Frąców a ja sobie pójdę do gruszczyńskiego pana. Może da pan Jezus, że się pomieścimy u niego. Ostańcie z Bogiem.

— Przenajświętsza panno prowadź! — Kobieci-

na pocałowała szkaplerz i ze łzami ku niebu westchnęła.

Wóz skręcił ku niedalekiéj zagrodzie a wieśniak skierował kroki swoje ku topolami sadzonéj drodze. Niezadługo spotkał się z drugim.

— Niechaj będzie pochwalony . . . .

— Na wieki . . . .

— Dobry wieczór Jędrzeju!

— Jak się macie, Mateuszu?

— Oj, ciężka dola!

— Słyszałem-ci, biedny człeku, słyszałem, mój Jezu kochany! Sprzedali wam chudobę.

— A sprzedalić, ratunku znikąd niebyło. Śpiewałoć mi to zaraz, jeno pan Alexander Lasowo sprzedał, że zniszczejemy powoli. Tóczem ja już trzeci w tych pięciu latach, co go sprzedali. Sobczyk, najbliższy sąsiad het poszedł za Wartę; czerwoneć tam dziś dachy na jego hubie a na roli jego przewodzą ze świata przybysze. Kiejby to nieboszczyk pan mógł teraz oglądać co to z jego dzieje się dobrami, to i chyba zmarłby raz drugi.

— Ani chybi, że i Golędzin pójdzie za Lasowem, boć tam już Kopfmann od dwóch dni siedzi i rachują i liczą i piszą. Ciężko tam w grobie nieboszczykowi, jeżeli widzi, co się tu dzieje, bo uczciwy był i rzetelny

i przywiązany do ziemi; a i dla ludzi sprawiedliwy i dbający. W Lasowie teraz wszystkie dawne sługi chleba pozbawiają; i ja wej idę za miejscem.

— I wy Jędrzeju? —

— Wszyscy sobie idziemy: Fora ze dwora! Niema o co karku łamać, jeno, że przecie człekowi żałko swoje porzucić kąty, gdzie się urodziło i wzrosło. Ostaje tylko jeden Werda: wykierował się ladaco na włodarza, na pisarza, na kiejgo licho wie wszystko. Przybłęda, niewiada, czy Żyd, czy Cygan, a niby Polak.

— Niepoń, urwisz! Aby się Kopfmanowi przypodobać, to na nas wszystkich podwodził. Wieciesz przecie sąsiedzie, jakie to ciężkie były lata: nierodziło się by; żona kwiękała, matkę zagarnęła cholera, dwoje dzieci zmarło; padły mi dwie krowiny, potém wolczak, potém szkapina; sam wej leżałem blisko pół roku, i już mówili, że niepowstanę, — to więc i wszystko niweczało, obracało się w marne. Pozalegały czynsze, i bieda się zakradła, że i siekierą nie utniéj. Nieboszczyk pan łajał, ale czekał wszelako i miał zlitowanie. Po nim i pan Alexander takoż przecie niegodził na zatratę człeka, ale kiejno sprzedał Lasowo temu z Pomeranji, to i hejże zaraz na mnie, i raz na raz egzekucyje, zabierali co było i

pomarnowali do reszty. I wtém Kopfmana sprawka, że obcy przybysz hubę kupił, że nie dopuścili swojego. Karol Werda, zdradziecka dusza, przytém latał niby kot zagorzały, a teraz wej prowadził tego jakiegoś tam ciemięgę z bachurami w betach w psiéj uprzęży, w moje kochane, zatracone kąty.

— A kaj wasza kobieta?

— Biedne Marysisko! Pociągnęła z dziećmi i resztką swojego do Frącków, dopóki miejsca niewynajdą. Poczciwi ludziska sami nam o to mówili.

— A dokądże idziecie?

— Oj do Gruszczyna, może pan pułkownik weźmie mnie za włodarza. Dobre to panisko.

— Mnie bo kazał przyjść do siebie pan Kłosowski z Mystkowic. Widział mnie wczoraj na jarmarku i wypowiedziałem mu moje zmartwienie. Aż zębami zgrzytnął, kiej mu wspomniałem, że Golędzin pójdzie pewnie za Lasowem.

W tej chwili cwałując przez pole nadjechał ów jeździec w szaraczkowym surducie.

— A widzisz go wej! Karol! — zawołał Jędrzej.

Mateusz się obejrzał i dodał: Urwisz!

Jeździec zatrzymał się przed nimi: był to młody jeszcze człowiek, brzydki, z grubym zadartym nosem, z małemi błyszczącemi oczyma.

— A co tak radzicie, panowie? — zapytał szyderczo. — I dokądże was święci pańscy prowadzą? — dodał, nieodebrawszy odpowiedzi na pierwsze pytanie.

— Za chlebem — odmruknął Mateusz.

— Ej co tam, tutaj szukać chleba! — Za morzem jest kraj piękny, bogaty, prześliczny, wymarło w nim ludzi wiela, to i rozdają tam wsie i pałace i wszelkie bogactwa za darmo, kto się tylko nawinie. Tam powinniście popłynąć. Darmo wam wszystko dadzą, słyszycie? —[1])

Chłopi milczeli. Werda usta przekrzywił, przymrużył oczy, skręcił konia i dalej pocwałował.

— Bodajś . . . . ! Jeszcze sobie żartuje — i Jędrzej pięścią za nim pogroził.

— Leć niecnoto na złamanie karku! Jeno, że co ma wisieć, to nie utonie. — Czas nam pono dalej, Jędrzeju. Szczęść wam Boże!

— Idźcież z Bogiem i matką najświętszą! —

Jędrzej poszedł ku Mystkowicom a Mateusz pospieszył do białego dworu ponad jeziorem.

---

1) Takie bajki rozpuszczano wystąpnie pomiędzy ludem wiejskim. Latwowierniejsi posprzedawali grunta swoje, wybrali się w owe zamorskie kraje i powrócili z drogi rozczarowani, znękami — do nędzy przywiedzeni ostatniej.

2.

A patrz po kraju kędy grosz się trwoni
Za jednę szczyptę zamorskiego ziela!
Co sług! co potraw! co psów, a co koni!
Syrakomla.

Więcej zapewne niż lekkomyślnie mniemają, zależy na zachowaniu form narodowości.
J. U. Niemcewicz.

Przededworem w Gruszczynie, pod lipą na obszernym trawniku, stał stolik, na nim taca czerwona, butelka wina, pare kieliszków i jakaś zakąska. W koło trzech mężczyzn siedziało.

Pierwszy z nich, dziedzic Gruszczyna, pułkownik Dolewski, silnej, wzniosłej postawy, miał już sześćdziesiątkę poza sobą. Twarz męzką, nader szlachetnego wyrazu, czerstwą, rumianą, zdobił nos orli, wąs mocno szpakowaty, przenikliwe czarne oczy, tem więcej znaczne, że włos miał siwy a gęsty. Ubierał

go granatowy surdut kroju polskiego, ze stojącym kołnierzem. Przy nim siedział ksiądz Zarzecki, proboszcz miejscowy, starzec z bielutkim jak mleko włosem, dobroduszny, łagodny, miłujący ludzi — prawdziwy kapłan Boży. Dalej dwudziesto-kilkoletni młodzian, dziarski Tadeusz, jedyny syn pułkownika. Urodziwa była to postać, przypominająca Habdanka na pięknym obrazie Lessera. Wysoki, kształtny, z płowym zarostem, świeżej cery, Tadeusz wesoło i bez troski, dużemi siwemi oczyma na piękny świat Boży spoglądał. Zielony krótki surducik, bóty napoleońskie i zawieszony na gałęzi biczyk dowodziły, że właśnie co tylko z konia zesiadł.

Tadeusz umaczał usta w podanym sobie kieliszku wina, powstał, ustąpił nieco na stronę i cygaro zapalił.

Rozmowa w małem kółku znać wielce zajmującego sięgała przedmiotu, bo właśnie pułkownik wyrzekł:

— Kolonija di San Leucio została fundowaną w końcu ubiegłego wieku przez króla neapolitańskiego. Zasługa jedyną pomiędzy obywatelami stanowiła różnicę. Ale wszakżesz i w naszej rzeczy pospolitej tylko jedna zasługa i waleczność do wyższych wynosiły godności! — Wszelki zbytek był w San Leucio ustawą zakazany, i w ubiorach najzupełniejsza mu-

siała panować równość. — Na to ostatnie — dodał pan Dolewski z uśmiechem — nasze panie pewnie nie zgodziłyby się nigdy. Ustałaby najczyńniejsza rywalizacyja niewieścia.

— Powiedz raczej, mój ojcze, że strojnisie byłyby takiemu rozporządzeniu przeciwne — ozwał się Tadeusz — bo wszakżeż kobiety nasze dla dobra kraju chętnie najwyższe czynią poświęcenia.

— Tak, kobiety nasze! — powtórzył pułkownik poważniej, a Tadeusz półgłosem dodał:

— Siostry moję! córy Piasta!

Zkąd to serce w piersiach wzrasta?

Zkąd ta dusza wam?

— Wszakżeż i Michelet wyrzekł w swojej książce, Les femmes de la revolution: »Poświęcenie jest prawem świata. Jest-to ów punkt Archimedesowy, z którego czasem pokierować można. Ale poświęcenie jest wynikiem miłości a nie powinności. Gdzież jednakże szukać tej miłości? Czy w tym świecie lodowo-zimnym zapełnionym rachubą i egoizmem, intrygami politycznemi i spekulacyją? — O, w tym świecie tylko jeszcze jedna kobieta kocha!«

— Może ma i słuszność ten myśliciel-historyk, a poeta zarazem. Ale wszelako ładne sukienki i fraszki

tualetowe, fraszki niekiedy arcy-kosztowne, nader miłe dla kobiety stanowią przedmioty.

— Przez poczucie piękna, mój ojcze!

— Znać, żeś młody, mój Tadeuszu.

— Ale cóż tam więcej opiewała owa ustawa? — zapytał proboszcz, którego kolonija di San Leucio więcej interesowała aniżeli Tadeusza poetyczne o kobietach wyobrażenie.

— Pomiędzy innemi wolno było dziewczętom i młodzianom, bezwzględnie na wolę rodziców, związki małżeńskie zawierać. Rodzicom żadne pod tym względem nie służyło prawo.

— Już co tego, to nie pochwalam — pokręcił proboszcz głową. — Czyniąc wybór małżonka każde dziecko powinno iść za radą ojca i matki: przykuwa jedno ogniwo więcej do rodzinnego kółka, niechżeż przeto ów wybrany lub wybrana narzuconym i natrętnym nie będzie intrusem.

— At, mieliśmy już różne przykłady i wypadki! — Lecz któżto tam idzie? Posłaniec jaki? Czy kto za służbą z terminatką?

Od bramy sztachetowéj, zawieszonéj pomiędzy dwoma murowanemi słupami, umajonéj topolami balzamicznemi i jarzębiną, zbliżał się wieśniak wolnym a ociężałym krokiem.

— To Mateusz Rempa z hubów lasowskich — odrzekł Tadeusz i posunął się ku nadchodzącemu.

— Niech będzie pochwalony . . . . — zaczął Mateusz i pokłonił się z kolei obecnym.

— Na wieki. A cóż powiesz, przyjacielu? — zagadał pułkownik przyjazno.

— Ha, wielmożny panie, przygnała mnie tu bieda, niedola, nędza.

— Cóż wam się stało?

Mateusz ponurym głosem swoję opowiedział dolę.

— A możeś i nie pilnował gospodarki, nie chodził skrzętnie około roli, pozwoliłeś sobie nieraz w miasteczku, z dobrej woli nie uiszczałeś się z czynszu? — mówił pułkownik niby nieco surowo, ale przecież łagodnym głosem.

— Mój ojcze, znam ja klęski przez które biedak przechodził — ozwał się pośredniczące Tadeusz. — Byłem tam u niego w czasie cholery.

— Zaświadczy mnie i ksiądz proboszcz dobrodziej, czylim nie pracował nie h a r a ł, jak mógł, ale znać takie już było dopuszczenie Boże.

— Istotnie, że biedny Mateusz przez nieszczęsne przechodził koleje — dodał proboszcz, spoglądając nań z politowaniem.

— No, i nie udałeś-że się do pana Kopfmana? — zapytał znowu pułkownik.

— Ej, wielmożny panie, alboż raz chodziłem! — Silny rumieniec wystąpił na policzki Mateusza, poskrobał się po głowie zakłopotany, i dalej o sobie, o rządzie obecnym w Lasowie — i o różnych tamże zmianach opowiadać zaczął.

Pan Dolewski słuchał go ze współczuciem; młody Tadeusz porwał się po pare razy niecierpliwie, a proboszcz sędziwą pokręcał głową.

— Mój Mateuszu — przerwał mu wreszcie pułkownik — stało się! Szukasz zarobku i pracy poczciwej, szukasz służby, to miejże ją u mnie. Obrócę starego Wojtysiaka do pilnowania lasu, a ty będziesz w miejscu jego włodarzem.

Mateusz z szczerą skłonił się radością: znalazł przecie dla rodziny swojej błogosławiony przytułek.

— A teraz, mój przyjacielu, idźże tam do Warchlewskiej, niechaj ciebie poczęstuje czem Bóg dał. Wypocznij sobie a jutro zwieziemy kobietę twoję, dzieci i manatki. Potrzeba, mój Tadzio, wyprzątnąć dlań izbę.

Mateusz udał się ku oficynie, stojącej na boku.

— Nieszczęście! Istne nieszczęście! — wybuchnął teraz pułkownik — puścił w obce ręce ojcowiznę a jeszcze i biednych ludzi lekkomyślnością swoją chleba pozbawia. Mówiłem ci to nieraz, widząc, jak szaleje. Skupował drogie konie na wyścigi i zmarnował od razu; jeździł, gonił wiatr po świecie, wyprawiał stypy, polowania; latał do Berlina, Drezna, Paryża; szukał żony majętnej, dał się złudzić partessami, i myślał, że pana Boga za nogi schwycił, gdy panna Zabielewska oświadczyny jego przyjęła. Pani mama rada była, że wyda córkę za chłopca mającego pare wiosek i lśniła mu w oczy wystawnością domową, i panna, której błoto paryskie milej pachniało aniżeli kwiatki ojczystego pola, do reszty oszołomiła zbałamuconego wycieraniem obcych kątów chłopaka. Widział śrebra, brylanty, stroje, wystawność, zfrancuziałe grandes damy, myślał, że kilkadziesiąt tysięcy talarków w posagu schwyci — i dostał piękną, barwistą wyprawę u Gersona skupioną. Odłużył się poza uszy na przekształcenie dworu w pałac, na palisandry, marmury i bronzy; na wzorzyste posadzki i aksamity; na śrebra, karety i konie, na przetworzenie ogrodu w dzikie klomby, sprowadzonemi z zagranicy krzewami. Po ślubie wyjechał z żoną zagranicę; potem sprzedał Lasowskie

dobra: puścił piękną ojcowiznę w obce ręce, wziął kupę pieniędzy i myśli, że te nie przebiorą się nigdy.

— Prawda, święta prawda! — przywtorzył proboszcz.

— O mój Tadeuszu! mój Tadzio! — zawołał pułkownik, silnie zaciskając dłonie, a głos jego rzewnem odbrzmiał wzruszeniem. — Jakakolwiek spotka cię dola, nie puszczaj w obce ręce ziemi ojcowskiéj!

— Nigdy, mój ojcze, nigdy! — młodzian skuloną rękę do piersi przycisnął a wyraz twarzy jego i oczów był rękojmią rzetelności tego przyrzeczenia.

— Różne to nieraz naglą okoliczności: zawikłane interesa majątkowe, rozporządzenie dzieci, że i usprawiedliwić niejako należy takie sprzedaże. Ale pomnij, synu, że lekkomyślne pozbywanie ojców ziemi, bezpotrzebne sprzedawanie jej obcym, jest świętokradztwem! — Sprzedasz ją niby drogo, ale grosz to nieżyzny i nie przyniesie ci błogosławieństwa. Żelazna konieczność, jak to już powiedziałem, usprawiedliwia niekiedy taki handel, ale ty mój Tadeuszu, ty do podobnéj frymarki znaglonym nie będziesz. A gdyby też po moim zgonie los niepomyślny skłonił ciebie do sprzedania Gruszczyna, wtedy, o dziecię moję, oddaj go tylko w ręce rodaka, gdybyś go i znacznie taniéj

miął sprzedać. Nie uganiaj się za zyskiem, któremuby ojciec nie pobłogosławił!

— Nigdy, mój ojcze, nigdy! powtarzam to sto razy! — zawołał Tadeusz z zapałem. — Znasz moję serce, znasz uczucia moję, kochany ojcze, bo sam zaszczepiłeś je we mnie. Twoja nauka, twoje cnoty zawsze i wszędzie przewodniczyć mi będą. O, żyj nam długo, dla szczęścia mojego i jako wzór do naśladowania dla drugich! — Za mnie, mój ojcze, nie powstydzisz się nigdy, i nigdy troska wywołana nieszlachetnym czynem syna, czoła twojego nie schmurzy. W czem mi wielki Boże dopomóż!

— Amen! — dodał proboszcz i pobożnie wiekiem zorane czoło ku ziemi pochylił.

Potem Pan Dolewski nagle zwrot inny nadał rozmowie i właśnie coś począł opowiadać wesoło, gdy na dziedziniec wjechał elegancki tilbury, ciągniony parą ślicznych koni, zaprzężonych wzdłuż jeden za drugim. Cugle trzymał młody człowiek wypieszczonego wejrzenia, wykwintnie ubrany; obok niego siedział jockey w szkarłatnej kurtce i kaszkieciku kształtu przekrojonego melona, także czerwonym, z wystającym daszkiem.

— Otóż i Aleksander! — zawołał Tadeusz i pobiegł gościa powitać.

— Waryat! Nie istnyż waryat! — poszepnął pułkownik i powstał z niechęcią.

Pan Aleksander Golędzki zeskoczył tymczasem z zamorskiego wózka i uściskał Tadeusza.

— Sługa szanownego pułkownika — podał rękę z eleganckiem poruszeniem całej postaci gospodarzowi domu. — Jak się mamy księże proboszczu? — i lekko głową kiwnął.

Panowie zasiedli znowu; tilbury na drugi odjechał dziedziniec.

— Ejże, mój Olesiu! — zaczął pułkownik po chwili, chmurne pocierając czoło. — Przez pamięć, przyjaźń i szacunek, jaki miałem dla ś. p. ojca twojego, i przez życzliwość dla ciebie, który rodziłeś się przy mnie, — nie inaczej tylko z całą prawdą i szczerością do ciebie przemówić mogę.

— Pułkownika dobrodzieja łaskę cenić umiem.

— Nasamprzód, pocożeś tym ekwipażem komedyanckim do nas zajechał? Mnie nim niezadziwisz, bo napatrzyłem się na dziwaczniejsze jeszcze, obce mierząc granice, ani też mojego Tadeusza nie zaintrygujesz: i on widział podobne i pewnie mu się takich dziwactw nie zachce.

— Ależ to nie dziwactwo, panie dobrodzieju! —

zawołał pan Aleksander zarumieniony, kręcąc kapeluszem w ręku. — Tak wielu już jeździ.

— U nas dziwactwo, klnę się Bogiem, że dziwactwo! Niechcąc mniéj grzecznego użyć wyrazu. — Alboż ci temi taczkami wygodniéj było jechać po grobli lasowskiéj? — Na zwirowéj drodze nie mówię, po mieście bardzo dobrze, ale przez pola, po wyrwach i dołach, to już mi tego nie powiesz, abyś wielkiéj przyjemności był doznał. Po co nam takie zamorskie figle, i kosztowne i niepraktyczne? Chyba żeś się szczególniéj ubawił, gdy młódź wiejska Golędzina, dla któréj taki wózek, i taka uprząż, i ten mały rak na koźle, prawdziwym fenomenem były, hurmem biegnąć, głośno podziwiała to wcale szczególne zjawisko. Wybacz, Olesiu, ale powiedzieć ci muszę, co mam na sercu.

— Pan dobrodziéj łaskaw.... każdą uwagę wdzięcznie przyjmuję .... Ależ ten tilbury od mamy żony mojéj dostałem, przysłała mi go z Paryża.

Pan Dolewski zlekka głową ruszył, jak gdyby był chciał powiedzieć: mogłać też była coś pożyteczniejszego nadesłać, a potém głośno dodał:

— Nadto powiem ci jeszcze, że jeżeli magnat, pan rzeczywiście bogaty, takim wszystkim dogadza fantazyom, i jeździ, jak mu na myśl przyjdzie, i sprowadzi

sobie wszystko o czem zamarzy, to i niechże sobie z Bogiem pieniądze wyrzuca: ma na to, i lepiej, że się też komuś co ze skarbów jego okroi. Dawne niesie przysłowie: że panu to wszystko uchodzi. Ale ty Olesiu, dziecko szlacheckie na zwyczajnej a niewielkiej szlacheckiej fortunie, to i sensu nie ma równać się z panami, i wyśmieją ciebie tylko. Co wolno lwu niewolno musze, ot masz i drugi sens moralny.

— Więc mama bawi ciągle w Paryżu?

— Tak jest, z młodszemi córkami. Ale wyjedzie do Spa, gdzie z nią zjechać się mamy.

— To pewnie i do Paryża pojedziecie?

— Odprowadzimy mamę.

— Posłuchajno jeszcze cierpliwie, mój Olesiu, bom właśnie w wenie prawienia kazania. Sprzedałeś Lasów tamtemu Pomerańczykowi, wziąłeś wprawdzie dużo pięknego grosza, uregulowałeś zagmatwane finanse, ale cóż dalej będzie? — Czy ztąd na przyszłość istotne umiałeś wyciągnąć korzyści? — Sam sobie na to odpowiedzieć zechciej. — Pan Kopfmann, po nabyciu Lasowa, całą polską powoli oddala służbę, a obcych naprowadza; pan Kopfmann już cztery huby lasowskie wykupił a trzy na Golędzinie, i mając pieniądze na zawołanie i głowę na karku, i Żydków z całym zapasem podstępów na biednych chłopów

naszych w zasadzce, niezadługo w dwójnasób kupno swoje powiększy.

— Panie dobrodzieju, byli to niedbalcy, leniwi i przez niedołęstwo i niezabieżność nie mogli się dłużej utrzymać — jąkał się dziedzic Golędzina.

— Tak nie jest, mój panie Aleksandrze. Przygniotły ich klęski i karystye różne, na które dziedzic Polak byłby miał wyrozumienie. A w ostatecznym razie byłby się znowu o Polaka hubiarza postarał. Pan Kopfmann wykupuje chłopów polskich i folwarki swoje rozszerza; czyni to niezawsze za pomocą środków godziwych a znędznieni krajowcy kierują się na żebraków na własnej ziemi. Dalej, czy wiesz jaka ztąd jeszcze głębiej się gająca nieprawość wynika? Rzuć ziarno kąkolu a rozpleni się i całe zagony zagarnie. Do zła jednego zaraz i drugie się wiąże, i niebawem z licznych ogniw spoi się łańcuch. Powinieneś wiedzieć, że każda huba składa na szkółkę katolicko-polską pewną opłatę. Dopóki właścicielem jest Polak, szkółka polska naturalnie swoją pobiera opłatę; ale skoro tylko dziedzicem stanie się Niemiec, wówczas całkiem odpada. Widzisz więc, panie Aleksandrze, ze skutkiem zręcznych zabiegów pana Kopfmanna, szkółka polska w Lasowie nie zadługo istnieć przestanie, bo nie zdoła się utrzymać.

— Nie wiedziałem . . . Ależ . . . przecie.

— Żadnego ale, żadnego przecie! Mówię ci prawdę. Jeden z hubiarzy polskich nie potrzebował bynajmniéj roli swojéj sprzedać, ale huba jego przyległa najwięcéj do gruntów dworskich; jak go przeto zaczęli głaskać, i widokami zysku łudzić, sprzedał ją biedaczysko, i zaprowadził się do miasteczka. Kapitalik powoli puścił — i dzisiaj dzieci jego żebrzą. — Dodajmy jeszcze, że z każdym rokiem powiększa się liczba oborców niemieckich na zebraniach powiatowych, a ubywa polskich deputowanych na sejm berliński. — Tak mój Olesiu, tak się dzieje! Coraz gorzéj, coraz smutniéj: prąd złowrogi nas porywa a nie umiemy czoła nawałnicy nadstawić i cisnące się przemocą bałwany odeprzeć. — Przepraszam ciebie, za słowa gorzkiéj prawdy.

— O panie dobrodzieju, panie pułkowniku, wdzięczny jestem... cenię tę szczerość....

— Chodźmy ot teraz na herbatę do pokoju.

Pan Dolewski inną wszczął rozmowę, którą i Tadeusz ożywiał, do któréj i świeżo z poczty przyniesiona Gazeta W. Ks. poznańskiego i Gazeta warszawska, dostarczyły przedmiotu. Ale jakkolwiek pan Aleksander nastrojonym humorem usiłował

pokryć doznane cierpkie w rażenie, to wszelako widocznie był dotknięty.

— Źle, na Boga, źle! — westchnął pułkownik po odjeździe gościa. — Jeszczeż mam sportsman' ów i steeple-chasse w biedzie naszej potrzeba było! Istna karystya, że tak łacno wszystko niedorzeczne do nas przystaje. Francuzimy się con amore, z współ ubieganiem, kto lepiej potrafi; angielszczymy się przez gwałt, a przyrasta do nas jak chwast na żyznej roli strona ujemna niemczyzny: egoizm, chłód, obojętność, zmiękczałość, i te wszystkie przywary tak niezgodne z charakterem polskim, niby atmosferą nas zarażają. Do tych zaś łączymy jak najharmonijniej: próżność, rozrzutność, nieoględność i nieład. A brak nam zamiłowania pracy i porządku, zamiłowania nauki. Jakaż więc czeka nas przyszłość, niestety! — Spekulantami nie będziemy, bo nie umiemy kupczyć, nie umiemy oszczędzać, obok chorobliwej żądzy posiadania majątku; bo charakter nasz z natury, zbyt jest szlachetny, otwarty, wspaniałomyślny; bo zbyt wiele mamy serca i poczucia rzeczywistej godności człowieka. — Takim zawsze był nasz narodowy charakter, i mniemam, że jeszcze nie zatarł się dotąd. Naukowe pole także tak bardzo szeroko swoich nie roztworzy nam szranków, bo i tutaj różne

nastręczają się trudności. A na domiar złego zmiękczyły nas obyczaje obce i wygody. Gdzież dawny hart i odwaga wytrwała? — Staliśmy się filigranowymi, i też po filigranowemu myślimy i czujemy. — Rola nasza to bogactwo jedyne! Rola! i zawsze rola! — Złoto dajna rola, święta ojców ziemia! — I tę lekkomyślnie obcym zaprzedajemy!

W pare dni potém przyszedł do Gruszczyna kilkonastoletni chłopak, szukając służby: nader ładna, otwarta fizyonomija pociągnęła Tadeusza ku niemu.

— Zkądżeś ty? — zapytał.

— Z Lasowa, wielmożny Panie.

— Byłem do koni, ale teraz pan Kopfmann rozgania prek wszystkich. Ojciec i matka zmarli na cholerę, ostałem się sierotą, i wej nie wiem, nieboże, gdzie się teraz obrócić.

Te wyrazy już całkiem ujęły poczciwego Tadeusza.

— Masz u mnie miejsce — wyrzekł z współczuciem — służ wiernie i pilnie to tego nie pożałujesz.

— O, wielmożny panie, przez całe życie moję!

Mateusz posłyszawszy, że Jaśko koniarek z Lasowa, został przyjęty przez młodego pana, pokręcił coś głową, pomruknął: ladaco, urwipołeć! — ale

wszelako nie chciał chłopakowi zaszkodzić, sądząc, że pod dobrym dozorem złych pozbędzie się skłonności. A pan Tadeusz wziął chłopaka wyłącznie do swoich posług, i w tydzień już potem, ładny Janek, przybrany w kurtkę zieloną z żółtemi guzikami, uwijał się po dworze i raźno pańskie wypełniał rozkazy.

3.

Bo niewiasty wieszcza mowa:
To ukochań tylko słowa,
To akordy poświęcenia,
To litości rozrzewnienia,
To pięknością lotna dusza,
Która w niebo rwie od ziemi,
I tym dźwiękiem — być wyższemi
Wszystkich w obec siebie zmusza!
Apollo Korzeniowski.

W niedzielę po objedzie pan Tadeusz przechodził się tam i tu, widocznie czemś niepokojony; to wyjrzał oknem, to wybiegł na dziedziniec; to cygaro zapalił i znowu porzucił: wyraźnie mu coś na myśli ciążyło — a może i na sercu. Pułkownik czytając gazetę, podniósł oczy po pare razy, uśmiechnął się a potem zagadał:

— Czy nie przejedziesz się w sąsiedztwo? Do Zabrzezia dajmy na to.

— Właśnie myślałem o tém — odrzekł Tadeusz lekko zarumieniony.

— To dalejże! Maj życia kwitnie raz tylko. — Do mnie przyjdzie proboszcz na maryaża. Ale zanim ci zaprzęgą, to jeszcze pogadamy z sobą. Siadaj — dodał dobrotliwie. — Nie uszło baczności mojéj, miły chłopcze, że panna Zofija przypadła ci do oka a tém samém i do serca: ładna to, dobra i wykształcona panienka. A zwyczajem wszystkich ojców dodam, że i posag będzie miała, chociaż pewnie nie zaraz. Mama, prawdę powiedziawszy, jest sobie trochę hic mulier a goni za zięciem któryby miał fortunę i dobre imię szlacheckie. Ot, tak samo jak i wszystkie matki. Smalże więc cholewki do téj swojéj bogdanki, mój Tadzio, a ja resztę obmyślę.

Tadeusz z rozrzewnieniem rękę ojca do ust przycisnął.

— Wypowiem Kłosowskiemu na ś. Jan kapitał: ośm tysięcy talarów jeszcze z posagu matki twojéj. Mówiłem z nim już o tém i żadnéj mu nie wyrządzę przykrości. Oczyścimy interessa, podniesiemy gospodarstwo, pozostanie się jeszcze na twój ożenek (żeniaczkę) — i wprowadzisz mi poczciwą i hożą synową do domu. Każę sobie od tamtéj strony dwa przybudować pokoiki, a tobie oddam ze skretessem całą gospodarkę i cały zarząd, i kłopoty wszystkie i mozoły.

— Mój dobry, kochany ojcze! Niepodobno ażebyś dla mnie chciał się pozbawić . . . .

— Pozbawić? Czego? Pragnę spokoju, i kwita. Dosyć mi już téj mitręgi. Będę sobie polował, gazety czytywał, czasem w maryaża pogram lub sąsiada którego odwidzę, i twojém będę cieszył się szczęściem, i pana Boga chwalił. Otóż ci zajeżdżają — powstał z siedzenia i do okna przystąpił. — Ta twoja lejcowa wcale ładną zrobiła się klaczką: co za główka kształtna! i nóżka gdyby utoczona.

Tadeusz ojca pożegnał, wskoczył do koczyka i rzewno i radosno naprzemian było mu w duszy. Koniki szybko podążały wśród pól zielonych a dobrze uprawnych, i gdy koczyk począł z niewielkiéj zjeżdżać pochyłości, ukazało się Zabrzezie w dolinie, umajonéj po jednéj stronie olszynką, po drugiéj młodym lasem brzozowym. Dwór nowy, żółty, pod czerwonym dachem, z murowanemi wschodami, z galeryą z lanego żelaza, wśród trawników i klombów już z daleka był widzialny. Koczyk okrążył porządne gospodarskie zabudowanie, wjechał na dziedziniec, i puściwszy się zwirem usypaną drogą, z głośnym turkotem na bruku przede dworem stanął.

W bawialnym pokoju znajdowały się właśnie następujące osoby: na kanapie pani Sielska, gospodyni

domu, chuda, wyprężona jak struna, i tłuściuchna, dobrodusznie uśmiechnięta pani Kłosowska; na fotelu obok pan Kłosowski, dziedzic Mystkowic, istny typ naszego obywatela wiejskiego: silnej postawy, czerstwy, ogorzały, z mocnym ciemnym zarostem; i ładna Zofija, córka pani domu. Wysoka, szczupła, zgrabniutka, biała i świeża, Zosia do wielu ładnych podobną była blondynek. Słodszém wszelako ponad wszystkie inne było dla Tadeusza spojrzenie jej modrych ocząt z pod ciemnej rzęsy i brewki, jakby ze sobolego ułożonej włosa; a wyraz twarzyczki tak łagodny, dziewiczy, pogodny a niby poważny, że równego daleko, aj daleko szukać-by potrzeba! — Panienka lekką blado-niebieską miała sukienkę, nader zręcznie do giętkiego przypadającą stanika, a składnie ułożone włosy, czarnym przystroiła aksamitem. Krzątała się czegoś po pokoju, gdy koczyk zajechał, spojrzała nieumyślnie w okno, i na widok znanych podobno dobrze koni, nagle zróżowiała najświeższym stulistnej róży odcieniem.

Gdy grono z kilku złożone osób gość niespodzianie powiększy, obojętny spostrzegacz łatwo na ich twarzach, w ich ukłonie i sposobie powitania wyczytać może, jakie ich z przybyłym wiążą stosunki, i o ile miłym lub niemiłym dla nich jest gościem. Tadeusz

wprawdzie nie jest nam obojętnym, bo cenimy go szczerze i radzibyśmy więcéj jemu podobnych napotkać, ale popatrzywszy na twarze obecnych w pokoju osób, zapewnić możemy: że pan Tadeusz Dolewski wcale chętnie był widzianym w Zabrzeziu. Pani domu powitała go uprzejmie — ale jak matka córki na wydaniu, która zna dziecka swojego zalety i przymioty, i żadnego kawalera — gdyby nim był i władzca Golkondy — zbyteczną uprzejmością zabowiązać sobie nie myśli.

Pani Kłosowska uśmiechnęła się do niego wesoło i niby porozumiawczo: poczciwa kobiecina znała skryte jego życzenia i najpomyślniejsze rokowała mu zabiegi. Pan Kłosowski przyjazno zacnego uściskał młodziana, bo całą duszą kochał pułkownika a w synie jego wróżył pożądanego dla kraju obywatela. Mamżeż jeszcze dodać, że panna Zofija zapłonęła dziewiczo? że się skłoniła zgrabniutko? Ej, to są rzeczy domyślne i w tylu już powieściach zręczniéj i wdzięczniéj opowiedziane. I w Poznańskiem dziewczęta szlachetnych młodzianów cenić umieją: wszędzie to jedna i ta sama odbywa się historya serca. — W sercu Zofji zawiośniało odkąd niewieścią duszą tajnię uczuć Tadeusza odgadła, i od tej chwili rozpoczęły się także własne jego dzieje: różane — złocone —

pełne urokow i czarów. A sama jeszcze i nie wiedziała, naprawdę, co się to święci. Zbyt przeważnie oddziaływa na niewieściem sercu przekonanie, że ją pokochano — i wrażenie takie bywa dla niej niekiedy wyrocznią.

Ale powróćmy do towarzystwa. Rozumie się, że wszyscy zapytywali o pułkownika, i że Tadeusz ze synowską odpowiadał czułością. Potem wywiązała się zwyczajna wiejska pogodanka: o urodzajach, o cenach zboża, o różnych dotykalnych okolicznościach społecznych. Utyskiwano na to i na owo — jak to wszędzie bywa, a szczególniej też w Poznańskiem, gdzie tak obfite ku temu jest pole. Ztąd też naturalnie przypomniano sobie pana Aleksandra Golędzkiego: zbytki jego cudzoziemskie, dziwactwa zamorskie, niezgodne z obyczajami, ze zwyczajami naszemi, a nawet i z ziemią i z klimatem — przedewszystkiem zaś jego potępienia godne lekceważenie swojskości.

— Co też to wszystko o nich opowiadają! — zawołała pani Kłosowska w pulchne klasnąwszy rączki: była to sobie dobra kobiecina, ale nieco ploteczki lubiła, a pani Aleksandrowa wcale persona grata u niej nie była. — Jaka to tam wystawność! I wszystko na manier angielski albo francuski. Wstają w południe, na pierwsze śniadanie jedzą bifsztyk do her-

baty; objad o godzinie piątej, wykwintny, dziwaczny. Cukry, zastawienia, oświetlenie sute, a sama pani zawsze w drogie materye przybrana. Względem sług skąpstwo i wszędzie tylko obczyzna. Pan Aleksander, bo możeby się jeszcze wyrobił inaczej, ale przy takiej żonie, to i do reszty zbałamucieje.

— Przewrotna kobieta! — dorzuciła pani domu — znaleźli się w korcu maku: wart Pac pałaca, a pałac Paca.

— Co niedorzeczna, to niedorzeczna! Z niego dałoby się może jeszcze coś zrobić, bo to takie dobrowolne i pozwoli sobie powiedzieć wszystko. Pan pułkownik bo mu napomnień nie szczędzi, i mąż mój nagada mu nieraz, co się tylko zmieści.

— To się na nic nie przyda! — wtrąciła znowu pani Sielska. — Potrzebneż mu było to ożenienie? Majątku nie wziął.

— Ale myślał, ze wezmie i zawiódł się nieborak — wtrącił pan Kłosowski.

— A tu jeszcze pretensye, i fumy, i dumy!

— Nie wiem też wcale, dla czego się z nią ożenił — zawołała pani Kłosowska z żywością — bo to ani ładne, ani miłe, ani dobre, i pewno tam przywiązania niemasz! Niema tam ani wielkiego wykształcenia, ot salonowość, i na tem koniec. Panie Tadeuszu, boć

to panowie najlepiéj ocenić umiecie: wszakżeż pani Aleksandrowa podobać się nie może?

— Wiem tylko że Polką nie jest — odrzekł zagadniony, wyrwany nagle z przyjemnéj z panną Zofiją rozmowy. — Nie kocha kraju i obojętnemi są dla niej jego koleje. Nie zna wcale dziejowéj przeszłości naszéj i polskich nie czytuje książek.

— Dobrześ ją opisał! — zaśmiał się Kłosowski.

— Najsumienniejszą powiedziałem prawdę. Nie będę powtarzał szczegółów, bo sam przed sobą wstydziłem się za to o czem po pare razy w mojéj odezwała się obecności, bo i lepiéj aby o tém nikt nie wiedział.

— Masz pan słuszność — przemówiła Zofija dźwięcznym głosikiem — pokrywajmy takie zdróżności, jeżeli nie przez uczucie chrześciańskiéj miłości, to raczéj przez wstyd bolesny, że takie zdarzają się wyjątki. O! bo wszakżeż to tylko wyjątki? — zawołała, drobne składając dłonie. — To tylko wyjątki, nieprawdaż? Szczupłą jest liczba podobnie myślących.

— Niewielką, dzięki Bogu! A i ci niewiedzą co czynią.

— Tęskno sercu a przestrach duszę ogarnia, słysząc o takiem lekceważeniu swojskosci: tego wszystkiego co dla każdego najdroższém być powinno. Boże dobry!

zostaw nam przynajmniej uczucie narodowe, wytrwałość i poczucie obowiązków świętych — wyrzekła Zofija z rzewnem odbrzmieniem w głosie. Tadeusz patrzał się na nią z nieokreślonem wzruszeniem a przytem i pomyślał: Czemuż jej poczciwy mój ojciec teraz nie słyszy!

— I Golędziu pójdzie sobie za drugiemi — wszczęła znowu pani Kłosowska, która nie tak łatwo popuścić lubiła co raz wzięła na zęby.

— Ani wątpić! I to największa jest klęska — i pani Sielska cierpko głową pokręciła. — Pan Kopfmann, sąsiad kochany, już i na zabrzeskie huby zagląda. A jest tam jeden hubiarz wcale niezabieżny, któremu się nie wiedzie, więc radby go wykupił.

— Zaglądają tam i do mnie, ale zjedzą licho, czyli im się uda. Nie dopuszczę tego nigdy.

— Boże uchowaj! — dodała pani Kłosowska, unosząc się na kanapie — gdybym i srebra i perły po babce sprzedać miała, to Kopfmann i piędzi ziemi na Mystkowicach nie kupi!

— Brawo! zawołał pan Kłosowski i żonę w rękę pocałował.

— Są to różne okoliczności i potrzeby nieraz: więc nikomu bezwzględnie nie możemy przyganiać — wtrą-

ciła pani Sielska. — Każdy pragnie mienie swoje powiększyć, zabespieczyć dzieci . . . .

— W miasteczku już teraz kilka wykupionych chłopskich siedzi rodzin: tracą grosz ostatni i demoralizują się. To jest zgroza! — zawołała pani Kłosowska.

— Oj prawda, prawda niestety! Zwiększanie się proletoryatu miejskiego największą jest klęską, bo pociąga za sobą coraz większą nędzę i demoralizacyą.

— Przywiozłem paniom: De la douleur par B. Saint-Bonnet — ozwał się Tadeusz, wyjmując książkę w nowéj okładce — rzecz pięknie napisaną i zawierającą prawd wiele. Właśnie też i o tym mówi przedmiocie. — Przerzucił stronnice i przeczytał:

»Sont-ce les ouvriers des campagnes, produisants le pain, la laine et le vin, qui vous menacent en ce jour, ou bien les ouvriers de villes! . . . .«

— Otóż, com powiedział o proletoryacie miejskim! Który nierównie jest nieszczęśliwszym, nędzniejszym, i łacniéj od wiejskiego znikczemnieje.

Tadeusz czytał dalej:

»Ce n'est pas le cultivateur qui fait ces révolutions. L'homme qui tient suspendu sur vos têtes le glaive du désordre est celui . . . . .«

— Ależ my to sami dobrze wiemy! — przerwał znowu pan Kłosowski. — Prawdę wyrzekł tamten twój autor, bo tak jest rzeczywiście. Z każdym rokiem proletoryat miejski, przez nędzę swoję i demoralizacyą, staje się groźniejszym a ztąd ogólnie i większa w kraju niedola.

Pan Kłosowski wpadł na bardzo drażliwy przedmiot, i mówił z całem uniesieniem zacnego obywatela, dla którego dobro ogółu czczym nie jest wyrazem. Ze zdaniem jego łączył Tadeusz i swoje, dowodzące wyższego sposobu myślenia i pięknych dążeń, za co Zofija anielskiem nagrodziła go spojrzeniem. I jeszcze żywe wybiegały słowa, gdy do pokoju wszedł młody człowiek, szczupły, blady, z nabrzękłemi oczyma, skwaszony, zgężony, ale elegancko ubrany.

— Nicusiu! nie wiedziałem, że tu jesteś — zawołał Tadeusz i poskoczył ku niemu.

— Pan Nicefor w nocy z Poznania przybył — wtrąciła pani domu.

— Jechałem prawie noc całą .... zmitrężyłem się ... A przedwczoraj z Berlina wróciłem — i pan Nicefor rzucił się niedbale na krzesło.

— Długo bawiłeś w Berlinie?

— Kilka tygodni.

— Nie pojmuję że pan znajdujesz przyjemność bawienia w Berlinie — pokręciła pani Kłosowska głową.

— Prędzéj tam jeszcze, jak gdzieindziej — pan Nicefor czoło fularem otorł.

— Jak się komu podoba — poszepnął pan Kłosowski, a żona jego z przekąsem głową kiwnęła.

— A cóżeś słyszał w Poznaniu? — skręcił Tadeusz rozmowę do innego przedmiotu.

— Nic.

— Widziałżeś kogo ze znajomych?

— Ignasia, Stanisława, Julka.

— I cóż porabiają?

— Srożyli się, że gazeta niemiecka coś tam znowu na nas umieściła.

— To nie nowina! Któż przeciwko złéj woli podoła? — zawołał pan Kłosowski.

— Byłeś w kółku?

— Byłem.

— A nie słyszałżeś czy wydawnictwo nowego pisma przyjdzie do skutku?

— Mówili o tém. Ale to się nie uda. I cóż nam po piśmie!

— Jakto! — powstał Tadeusz — każde pismo polskie byłoby wielce pożądanem. Oddawna tego pragniemy. To jest dobrodziejstwem mieć jeden organ więcej.

— Napotkałoby różne przeszkody. Nie utrzymałoby

się. Brak funduszu i materyałów. To tylko pia desideria.

— Któż też widział tak powątpiewać o wszystkiem, kuzynku, i błogie nadzieje tak od razu zimnem spłaszać słówkiem! — wymówiła Zofija z wyrazem zarzutu.

— Ależ tak jest.

— Tak nie jest! — zawołał Tadeusz. — Powiedzmy sobie tylko że tak nie jest, a stanie się inaczej. Przeszkody napotykamy wszędzie i zawsze, ależ to nas nigdy od niczego nie powinno odstręczać. Szczerej woli, chęci gorliwej i wytrwałości, wytrwałości przedewszystkiem, otóż w to się uzbrojmy! — Gdybyśmy się przy każdem przedsięwzięciu z przypuszczalnemi przeszkodami naprzód obliczać mieli, tobyśmy w końcu nawet i przez most nie przeszli, by pod nami nie zarwały się belki. Bóg nam dał rozum i wolę, a życie nasze powinno być namaszczone walką i łamaniem się z przeciwnościami.

— Ej, na co się to przyda!

— Nie czytałeś gazet zagranicznych?

— Nie. Nic tam niemasz nowego — i pan Nicefor ziewnął poza fularem.

— Biedny! jakiż strudzony — przemówiła pani Kłosowska ze źle ukrytym uśmiechem.

— Jestem niewyspany.

— Mój Boże, a coby to było, gdyby tak przyszło biwuakować noc po nocy, o zimnie i głodzie? I stać na pikiecie wśród mrozu i zamieci po pare godzin — wtrącił pan Kłosowski — jak to człek nieraz musiał, a był przytém rzeski i ochoczy, i spać się nie chciało i znużenia się nie czuło. Drzemało się smacznie niekiedy i w marszu, a kiedy się z manierki gorzałki napiło i zakąsiło słoninką, to i za wszystkie delikatessy starczyło.

— Da Bóg dobry to i my tego dokażemy, nieprawdaż, Nicusiu? — zawołał Tadeusz, a młodzieńcze lice żywszy skrasił rumieniec — i my to potrafimy! Nie sklei się powieka, nie poczujemy znużenia, ani zimna, ani skwaru, ni głodu ni pragnienia, byle tylko pora po temu była!

— Ty, mój Tadzio, bo już tego jak najdobitniejsze dawałeś dowody — pan Kłosowski porwał się, ujął go za głowę, odchylił nieco włosy: pokazała się dość głęboka blizna — do której nie bez wzruszenia usta przyłożył. — Zacny z ciebie chłopiec! — i uderzył go w ramię.

Zofija miała pełne łez oczy.

W tej chwili wszedł do pokoju młody człowiek, skromny, przyjemnego wejrzenia, nader mile powi-

tany przez wszystkich: był to wiejski nauczyciel, pan Wojczyk.

— Przyniosłem tu panom do przejrzenia artykulik, który napisałem do Szkoły polskiej — wymówił dobywając z kieszeni rękopis. — Zechcecie mi panowie łaskawie swoje poczynić uwagi, zwłaszcza też pan Dolewski.

— Z całego serca, mój kochany panie. Ale czy słyszałeś, może będziemy mieli nowe pismo czasowe?

— Dałby to pan Jezus! Jest tego rzeczywisty brak w księstwie. Traci na tem i sam język nieskończenie wiele.

Panowie usunęli się do okna. Wojczyk opowiedział im treść rzeczy, dążenie, przeczytał niektóre ustępy — i zyskał wielkie zadowolenie pana Kłosowskiego i Tadeusza.

Nauczyciel wiejski, rozsądny, poczciwy, sumienny, z miłością chrześciańską w duszy, potrafi nietylko w swoim zakresie wywrzeć wpływ nader pomyślny na oświatę i moralność powierzonej sobie gminy, lecz i po-za tem kołem działania jego zdołają wielce zbawienne przynieść owoce. Takich sumiennych i rozsądnych nauczycieli napotykamy w księstwie — i takim właśnie był pan Wojczyk. To też i przyskał wiarę i

przywiązanie włościan, a szczery szacunek szlachty-obywateli.

Znać dano że herbata czeka — i wszyscy do drugiego przeszli pokoju, gdzie już była guwernantka Francuska i dwie młodsze coreczki pani Sielskiej.

Gdy Tadeusz w pare godzin potem do domu powracał, kołysały serce jego — duszę — i umysł, najwdzięczniejsze marzenia.

Przededwór w Gruszczynie wybiegł na powitanie jego młody mężczyzna.

— Antosiu! — zawołał radośnie na widok jego, wyskakując z powozu. — Ciebie mi tylko jeszcze brakowało.

Pan Antoni rodem z krolestwa, zostawał bez paszportu od lat pare w księstwie, teraz zaś podał do poselstwa rossyjskiego w Berlinie o pozwolenie powrotu do kraju, i przybył do Gruszczyna na dni kilka. Panowie Dolewscy nie ukrywali gościa, jakkolwiek że władze bacznie wychodźców śledziły, bo wszakżeż lada dzień pomyślnej na wniosek jego wyglądano odpowiedzi.

4.

Kogo zamorskie pachnidło przynęci,
Cóż mu aromat naszych sianożęci?
Syrakomla.

Like loves like.

Jużeśmy słyszeli z ust pułkownika, że pan Aleksander Golędzki, żeniąc się z panną Idą Zabielewską, przerobił z wielkim kosztem stary, wygodny dwór ojców na modny pałacyk. Przybudówki ze wszystkich stron poczynione nadały mu kształt nieco fantastyczny, co wielce właścicielom do gustu było. Zdobiła go i galerya werandą przezwano, opatrzona zielonym daszkiem w rodzaju chińskim, zdobna w krzewy, kwiaty, filary, statuetki, w piękne kanapki i fotele rococo, i stoliki z marmurowemi płytami.

Na tę werandę zajrzyjmy na chwilę: było co tylko po objedzie, zegar pół do siódmej wskazywał.

Rozparta na elastycznej kanapce siedziała pani Ida — blondynka dość silnie zbudowana, dużych i nie-

ładnych rysów twarzy: oczy małe, siwe, bez wyrazu, które często mrużyła — zapewne by im nadać więcej uroku — cera malowidłem podniesiona i wielkie z przyprawnych włosów nioby, — otóż wszystko co o jej zwierzchniej piękności powiedzieć możemy. Miała na sobie szlafroszek biały kaszmirowy, haftowany jedwabiami w koło, podszyty atłasem cerise, otwarty z przodu na batystowej spódnicy; szerokie rękawy, opadając falisto, odsłaniały rękę dość ładną, krągłą, złotemi ozdobioną braseletami; głowę stroiła arcypiękna koronka, przytwierdzona dwiema kamelijami; nogi w ślicznych mesztach, czerwonych, suto złotem naszytych, spoczywały na bogatej poduszce. Pani Ida głosikiem pieszczonym, afektowanym, razmawiała z dwoma młodymi fashionable'ami — niemieckiemi paniczami — junkrami. Starszy z nich był brunet przystojny, z dużą brodą, drugi słabowity, wywiędły blondynek.

Opodal gospodarz domu grał z dwoma drugimi panami w preferansa. Jeden z nich był także jeszcze młody, wysoki, chudy, barczysty, z gładko przyczesanym włosem niepewnego koloru, rysów bardzo zwyczajnych, z bródką nieco rudawą; drugi zaś dużo już szpakowaty, wydatnej a nawet pięknej twarzy. Pierwszym był pan Salezy Piaszczewski, majętny obywatel

z okolicy, drugim pan Sutkiewicz, o którym raz mówiono, że jest z Litwy, to znowu że z Wołynia, to wreszcie, że miał w Kurlandyi majątek. Ale gdy tego wymagała konieczność przez policyą narzucona, wylegitymował się pan Sutkiewicz jako urodzony w Mosinie, i odtąd w niczem już pobyt jego w księstwie niepokojonym nie był. Dla nieświadomych przecież rzeczy — a świadomych jéj było bardzo mało — pan Sutkiewicz pozostał się ciągle to Litwinem, to Wołynianinem, to Kurlandczykiem. Umiał wszystkich względy dla siebie pozyskać, bo każdemu przytakiwał i pochwalał wszystko. Znał także doskonale każdą grę w karty. Obecnie bawił u pana Salezego, któremu nad miarę pochlebiać umiał: znać mu z tem było dogodnie.

— Fou zetes souffrante auchourd'hui, madame — ozwał się do pani Idy ów pierwszy modniś z ciemną brodą, gdy z pięknego flakonu krzepiła się eterem.

— Je le suis presque toujours, monsieur — odrzekła, powłócząc oczyma i rzeźwiąc się wyrobionym ślicznie wachlarzem.

— Eh bien fou zirez à Berlin, fou consilterez monsieur Schoenlein, et ensuite

fou partirez pour Spa, à ce que m'a dit monsieur fotre epou.

— Maman y sera et je ne veux pas manquer le coche.

— Werden Sie diesen Sommer in Berlin sind, *my dearest?* — zapytał blondyn bruneta.

— *Yes*, lieber Baron, aber nur bis Juli. Zum *sport*. Ich habe eine Wette mit Prudelwitz wegen meiner Dogge. Die letzte *eximious* gelungen.

— Madame restera-t-elle longtems à Berlin? ozwał się blondynek znowu do pani domu.

— Trois semaines.

— Alors ch'aurai le blaisir de fou zy voir.

— A dout, a dout, cher Alexandre! — zawołał w tej chwili brunet, zaglądając w karty Golędzkiemu, za co pan Sutkiewicz tak groźno na niego spojrzał, że pięknie brodaty dandy nagle zarumieniony, zaraz znowu do pani Idy powrócił.

— C'est un pien beau efantail, que fou zavez la, madame — wymówił dla lepszego kontenansu.

Pani Ida zlekka, niedbale głową kiwnęła.

Rozmowa równie czcza i nic nieznacząca wlokła się

jeszcze przez chwilę, tymczasem i preferansowi panowie od stolika powstali. Lokaj w piaskowych kamaszach i długiej pąsowej kamizelce przy brązowym fraku, marki w mahoniowe włożył pudełko.

— Fou zavez gagnè? zapytał brodacz gospodarza.

— Au contraire, cher baron, j'ai perdu huit cent points.

— C'est pepitable!

— A jakież interessa pan Salezy zrobił? — zapytała pani Ida, mrużąc z ironiją oczy.

— Jo wygrołem trochę.

— Pan widać zawołanym jesteś preferansistą.

— Nie grywom i źle grom, tylko mnie przymusili.

Pani Ida chusteczką usta przysłoniła.

— A jednakże dziś pan wygrałeś, to jest gienialnie! Nie zapominaj tylko, panie, że kto w karty szczęśliwy, temu Amor nie sprzyja.

— Co mnie do tego.

— Przecież jesteś kawalerem na wydaniu.

— Il fou zarive di monde! zawołał wywiędły blondynek.

— Któż-to być może, Olesiu? — zapytała na to pani Ida, przykładając lornetkę.

Czworokonna landara okrążyła klomby i zatrzymała się przed umajonym przedsionkiem.

— To pani Gorzycka z Emilką — wymówił pan domu i wyszedł, by przybyłe panie wyprowadzić.

— C'est sont des dames? — zagadał brodaty brunet, prostując się pretensyonalnie.

— Une mere avec une fille qui a le bouquet a l'oreille — poszepnęła złośliwie pani domu nieruszając się z miejsca.

— Un bouquet a l'oreille? zapytał dandy, nierozumiejąc znaczenia tych wyrazów.

— Oui, avec une fille a marier.

— Ah! j'y suis.

— Et cette dame employe toutes les herbes de la s. Jean pour reussir. Essayez, baron — i rozśmiała się głośno.

— Przyjechała pani Gorzycka z panną Emiliją — oznajmił także pan Salezy.

— Kuzynki panny Zofji! — pochwyciła pani Ida, mrużąc oczy figlarnie. — Potrzeba, ażeby pan Salezy był grzecznym i to bardzo grzecznym, c'est de rigueur. Mogłyby piękne popsuć projekta.

— Jo żodnych nie mom — jąkał się kawaler lekko zarumieniony — i nie potrzebuję lękać się niczego.

— Po cóż się wypierać? Wiem coś o tem.

W téj chwili wprowodził pan Aleksander damę nader dobrej tuszy, w sutéj morderowéj mantylli. Za niemi weszła panna w różowéj sukience, z długiemi u głowy wstęgami, podobna do mamy, lecz wcale ładna — znać i mama taką kiedyś była.

Gospodyni domu podniosła się nieco i nastąpiło grzeczne powitanie.

— Le baron Irrwisch-Troglodyten et le comte Neglaff-Eulenburg — przedstawił pan Aleksander brodacza i blondynka. — Pan Sutkiewicz i kochany Saluś Piaszczewski.

— Przecież znamy się dobrze — uśmiechnęła się pani Gorzycka uprzejmie do tych dwóch ostatnich, siadając obok pani Idy. A panna Emilija zaczepiła pana Salezego pytaniem:

— Jakżeż się miewa kochana siostrzyczka?

— Zdrowo, dziękuję pani — odrzekł kawaler, przysiadł się do niéj i zaczęła się wielce ożywiona rozmowa, nasamprzód od pogody. Mama z widocznem zadowoleniem spoglądała na nich niekiedy z ukosa, zasypując panią Idę potokiem zapytań:

— Czy też jeszcze adamaszek w modzie, moja droga, święta pani, i blondyny? Bo przyznam się pani, że mam tego pełną szufladę. Kosztowały dużo i nie

chciałabym ich zmarnować. Myślę je na czarno ufarbować, nieprawdaż, moja pani kochana? — A noszą też jeszcze marabouts i czaple pióra? Chcę pudełko z niemi do Berlina wyprawić, ażeby je tam wyprali. Pani kochana, bo najlepiéj wie co jest w modzie: zawsześ pani tak pięknie, tak gustownie ubrana. Co to znowu za prześliczny szlafroczek! Emilciu, czy uważałaś? I pani w nim wypatruje gdyby anioł. Czy nie, panie Aleksandrze? Oj, mężulko mi to przyzna z pewnością. Podobno państwo opuszczacie nas znowu i nie powrócicie na zimę. Szkoda! Wielka szkoda dla karnawału poznańskiego.

— Jeszcze to daleko do karnawału — odrzekł pan Aleksander.

— Co tam daleko! Przymknie się to ani spostrzeżemy. A ja z moją panienką wybieram się na karnawał do Poznaniu, to i chciałabym, żeby jak najwięcéj osób comme il faut bywało.

Pani Gorzycka zagadała następnie o wełnianym jarmarku, o strzyży owiec: chwaliła wełnę swoję, urodzaje, któremi ją pan Bóg obdarzył, dodając zawsze: na mojém lichém gospodarstwie kobiecém. Przytem podkadzała i panu Salezemu, jako gospodarzowi zawołanemu. Pan Salezy, jak to wiemy, miał pare ładnych wiosek, rządził się, jak niemożna lepiéj,

to jest: stękał na złe czasy, na niedolę kraju, a pieniądze zgarniał i do biórka chował, by za nie potem zbiór skór baranich powiększyć. Z każdym też rokiem majątku znacznie przysporzył, a wszystkim dziwno było, że ziemi kupować nie chciał, chociaż w sąsiedztwie jego pare ładnych wiosek na sprzedaż poszło. Teraz właśnie szukał pan Salezy żony, jak wieść po całym niemal powiecie runęła. W chwili szczególnego zaufania, co u niego zdarzało się rzadko, przy butelce dobrego węgrzyna, dał się z tém słyszeć w domu sąsiedzkim: że mu żona potrzebna i że raz przecie ożenić się trzeba. O tém wszystkiem, rozumie się, że pani Gorzycka wiedziała — a miała córkę na wydaniu i trzy jeszcze dorastające dzieweczki! — Wiedziała, że w ostatnich czasach był dwa razy z wizytą w Zabrzeziu — ale jakichże to nadziej poczciwe macierzyńskie serce nie żywi?

Panu Salezemu podobała się panna Zofija, ale rzecz prowadził ostrożnie i przezornie: idąc zawsze tylko na pewnika. Serce o tém wszystkiem i nie wiele wiedziało, a raczej nic podobno — ależ panna była ładna, najładniejsza w całej okolicy i wychowana wzorowo; przypadała na nią trzecia część Zabrzezia, co przy podnoszącej się cenie dóbr w Poznańskiem, wcale ładny, szlachecki, stanowiło posag. A chociażby

mama — wedle wszelkich wszelakości — teraz i niewiele co zaliczyła, to przecież miał na widoku spłacenie sióstr młodszych czém tém, jak się uda, i zostać dziedzicem jednéj z najlepszych włości. — I tego planiku domyślała się pani Gorzycka, bo przy wszystkich dowiadywaniach się o modę, o adamaszki i blondyny, miała i wielce praktyczny rozum, rozum liczebny, oparty na domyślności niewieściéj. A czemżeż to jest taka domyślność niewieścia? Wyższą zaiste od dyplomatycznéj woni najbieglejszych polityków dzisiejszych. — Ależ to wszystko nie przeszkadzało, by nie roiła o złotéj nadziei, że jéj Emilka kiedyś imię swoję na nazwisko pani Salezowéj Piaszczewskiéj zamieni. Rada więc była niezmiernie, gdy szanownego kawalera w Golędzinie zastała, i zagarnąwszy go od razu do żywéj z córką i ze sobą rozmowy, nie troszczyła się bynajmniej że pani domu, ze stanowiska wyższości swojéj, puściła ją sobie per non sunt.

— Elle n'est pas mal, cette demoiselle — poszepnął baron pani Idzie, przypatrując się Emilji dość śmiałem spojrzeniem.

— Une brebis du bon Dieu — odmruknęła pani Golędzka złośliwie.

— Une jolie chument (jument), dont la

criniere est parfaite — dodał kawaler, przypatrując się pięknym włosem panny Emilji.

Pani Ida rozśmiała się wesoło. Potem zaczęli coś ciszej prawić, i znać bardzo pocieszny uchwycili przedmiot, bo pani Ida raz po raz zniewoloną była głośniejszy wybuch śmiechu batystową stłumić chusteczką.

Wśród tego gwaru dosłyszano znowu lekki turkot przed pałacem. Pan domu wyjrzał i zawołał:

— Tadzio Dolewski przyjechał.

— A! — skwasiła się nagle pani domu — Olesiu! mon cher! — a gdy mąż nadbiegł, poszeptała mu: Il faut battre a froid ce personnage-là. Nie lubię tego młokosa a nienawidzę starego: c'est ma bête noire.

Tadeusz wszedł na werandę; hoży, pogodny, jak zawsze, ze zwykłą sobie swobodą, tak właściwą w młodzianie, i tak upiększającą każdego. Aleksander pomimo zakazu żony, poskoczył ku niemu i młodego przyjaciela uściskał. Bo Aleksander złym nie był, i ile razy ujrzał Tadeusza, z którym niegdyś dziecinne podzielał zabawki: hasankę na drewnianych konikach, żołnierkę z blaszanemi pałaszykami, — to i miękciej, mimowoli, uderzyło mu serce, i nie mógł się powściągnąć, by go bratnim uściskiem nie

witać. Takie zaiskrzenie piękniejszego uczuciu było naprawdę czystym połyskiem brylantowym wśród kału i śmieci, w których zatonął, niestety! — Ale czemuż brylant ten trwalszych nie naniecił iskier, któreby serce z natury lepsze, błogosławionym rozetliły ogniem? — Nie dopuściła tego atmosfera zgniła, zjadliwa, która w koło pochłoniała wszystko — nieszczęsna aria cattiva!

Aleksander poprowadził Tadeusza do żony, która właśnie bardzo żywo i z wielkiem zajęciem rozmawiała z baronem.

— Ida! mon amie! Pan Tadeusz Dolewski. M'amie, chere Ida! — musiał powtórzyć zanim się ku niemu zwróciła.

— A, dobry wieczór — wymówiła i z góry głową kwinęła. — Zkądżeż pan jedzie?

— Przejeżdżam — odrzekł Tadeusz z przyciskiem, tem powitaniem dotknięty — a niepodobna mi było, by dawnym zwyczajem do Olesia nie wstąpić.

— Z czego Oleś zapewne wielce jest urodowany — skłoniwszy lekko głową, odrzekła pani Ida z wyrazem pełnym ironji.

— Tak sądzę, tak wierzę — dodał Tadeusz dobitniej, nie bez goryczy w głosie — wiążą nas niemal od kolebki sąsiedzko-przyjazne stosunki, i co do mnie,

jestem zawsze serdecznie uradowany, gdy nas Oleś w Gruszczynie odwidzi.

— O! a dla niego to prawdziwym jest festynem. I taka wizyta powinna dla Olesia zawsze z wielką być korzyścią: pan pułkownik zwykle tak zbawiennych udziela mu nauk.

— Mój ojciec dla Olesia z prawdziwie ojcowskiem jest sercem.

— Ani wątpię! Mais il prêche sept ans pour un carême, bo Oleś jest naprawdę un panier perce. Ależ pan musisz być wzorem cnót piramidalnych — dodała z niepowstrzymaną złośliwością — będąc wychowańcem takiego męża!

— Chciałbym, chociażby w części tylko sprostać mojemu ojcu, i jako obywatel i jako Polak — odrzekł Tadeusz z rumieńcem na licu i z podniesionem czołem — bo szanowny ten starzec potrafił sobie we wszystkich sercach poczciwych, które jeszcze dawne cnoty polskie ocenić umieją, poczciwe zjednać wspomnienie — skinął lekko głową i odwrócił się z pewnym odbłyskiem pogardy w spojrzeniu.

Aleksander z powyższej rozmowy i jednego nie dosłyszał słówka, bo baron pół głośną a niby dowcipną zajął go gawędką, z której tylko pare wyrażeń dżokejowskich o bliżej będące obiło się uszy. Gdy zaś

Tadeusz, wzburzony nieco niegodną pani Idy ironiją, usunął się na stronę, przybył doń Aleksander i biorąc go za rękę, wyrzekł:

— Chodź, Tadzio, przedstawię cię baronowi Irrwisch-Troglodyten i hrabiemu Neglaff-Eulenburg.

— Któż są ci panowie?

— Członkowie Jockey-Club'u. Obywatele pomorscy.

— A zkądżeż się wzięli u ciebie?

— Przejeżdżają tędy. Poznałem ich w Berlinie. Chodź, zapoznam cię z nimi.

— Dziękuję, Olesiu. Do Jockey-Club'u nigdy należeć nie będę, to zapewne tych panów już po raz drugi w życiu mojem nie spotkam. Pozwól, bym panie Gorzyckie powitał.

Matka Emilji już po pare razy usiłowała go zaczepić, bo z całą troskliwością obliczyła, że gdyby pan Salczy Piaszczewski chybił, to Tadeusz Dolewski byłby partyą wcale nie do odrzucenia: Gruszczyn wprawdzie niewielka wioska, ale w dobrej glebie — a kto wie, czyli pułkownik nie ma kapitałów jakich. Wiadomo było wprawdzie, że w ostatnich czasach wielkie był poniósł ofiary, ale to właśnie dowodziło poniekąd, że musiał mieć zasoby, skoro niczem nie nagłony, takie znaczne robił poświęcenia. — Niczem nie

naglony? Kobiecina więc za nic liczyła głos silny serca i duszy.

Pani Gorzycka z ujmującą grzecznością zagarnęła przystępującego do niéj pana Tadeusza; uśmiechnęła się i Emilka wdzięcznie do niego, chociaż tylko przelotnie, ukradkiem niby, ażeby pan Salezy téj przynęty nie dostrzegł. Miléj wprawdzie było spojrzeć na dorodnego młodziana, aniżeli na nieco gburowatego pana Salezego, który i nieco ucho raził swoją wielkopolską wymową. Ale Emilka w dobréj wzrosła szkole, umiała ludzi na wagę złota ocenić — lecz nie! Nie sądźmy dziewczęcia podług szerzącego się coraz bardziéj materyalizmu u nas! Bądźmy sprawiedliwymi i powiedzmy raczéj: panienka wiedziała, że Tadeusza serce już rozpłoniło modrych ocząt Zofji urocze spojrzenie.

Tadeusz chwilę z panią Gorzycką pomówił; potém przystąpił do pana Sutkiewicza — a gdy służba wykamaszowana kolorowe lampiony zapalać poczęła, odciągnął Aleksandra na stronę i ściskając mu rękę: Dobra noc — poszepnął.

— Jakto! Chcesz odjechać? To niepodobna! Herbatę zaraz podadzą.

— Ojciec mnie czeka i Antoś jest u nas.

— Zostań-że jeszcze! Tadzio, proszę cię!

— Wierzaj mi, że nie mogę.

— Żonie będzie markotno.

— Macie więcej gości. Wyniosę się po angielsku. Tadeusz raz jeszcze uścisnął mu rękę. Aleksander go wyprowadził — i niebawem turkot oddalającego się pojazdu wywołał szyderczy uśmiech zadowalenia na usta gospodyni domu, przechylonej malowniczo na miękkiej kanapce, w poświacie różowego lampionu — i rozmawiającej wpółcicho, bez przerwy niemal, z brodatym baronem, członkiem berlinskiego Jockey-Club'u. —

5.

Gdzie tylko wpływ obcy usiłuje miejscowe żywioły ku swojéj wyłącznéj użyć korzyści, wszędzie demoralizacya w jego idzie szlaki.

Obrazek poznański.

Na hubach lasowskich był gospodarz Jaśko Jaskółka, którego półko w żyzną ziemię obfite, graniczyło z gruntami pańskiemi; do niego to wspomniony powyżej Karol Werda często zaglądał i zawsze namawiał, ażeby rolę swoję panu Kopfmanowi sprzedał.

— Zapłaci wam dobrze, drogo sprzedacie — łudził kusiciel — a gdzieindziéj taniéj kupicie. Toć-że wej już budynki nietęgie a chałupsko całkiem w ziemię lezie.

— Albo ja chce? — odpowiadał z początku Jaskółka. — Chałupina wcale jeszcze nieszkodna: ciepło nam w niéj i wygoda, chociaż niepokaźna; stodoła i chlewiki też jeszcze ulezą, a rola to istne złoto a przecież i po ojcu.

— Bylibyście mądrzy — ozwał się znowu za pare tygodni niegodny zausznik — gdybyście gospodarstwo rzucili a w miasteczku osiedli. Moglibyście i tam gruntu nabyć, a na czasie żydom furmanić i piękny grosz zbijać, a jeszcze i pieniądz na wysoką prowizyą wypożyczać. Zrobilibyście majątek, bo tak ludzie poczynają; zwaspanielibyście od razu, zostali mieszczanem, panem Jaskólskim, a dzieci wasze to i Bóg wie jakie tam jeszcze porobiłyby karyole.

— Co tam! — odbąknął Jaskółka, ale mu wszelako ta mowa łudząca niby kopeć na myśli uwięzła.

— Cożeście tacy zmarudzeni, panie Janie? — zaczepił go znowu przed kościołem po nabożeństwie.

— Krowa mi oj padła, potrzeba inną kupić, bo żona głowę klekce.

— To i co?

— A brak mi trzydziestu talarów. Od żyda pożyczyć nie chcę, bo te sobaki jak zalezą raz za skórę, to już i trudna rada, i prowizyą wielgą opłacać potrzeba.

— To i po cóż macie do żyda chodzić?

— A któż mnie poretuje?

— Wielkie rary, pan nasz da wam bez prowizyi, to uczciwe człeczysko.

— Ale, bez prowizyi!

— Jak matkę najświętszą kocham i wszystkich Świętych pańskich. Przysięgu Bogu! Chodźmy do kaplicy, wypijemy po lampeczce, dobra od cholery, psiej skóry.

Jaskółka poskrobał się po głowie.

— No chodźcież! Znajdzie się przecie jeszcze u mnie złotowina. Dobry trunek na frasanek.

Poszli. Wypili nie po jednej, lecz po pare lampeczek, a potem pospołu udali się do lasowskiego dworu. Jaśko wrócił z pieniędzmi, ale dobrze podchmielony. Nazajutrz kupił na jarmarku piękną krową.

— A co to, pani Jaskólska, Jagulka gęsi pasie? Ej pfe! — ozwał się znowu kusiciel w postaci Karola Werdy, w dni kilka po jarmarku do Jaśkowej, wchodząc do schludnej izdebki, w której właśnie na policy (na pułce) jakieś nowe, polewane ustawiała garnuszki.

— No wej, niemiałażby paść? — Witajcież panie Karolu — odrzekła kobieta, której tytuł pani Jaskólskiej wyraźnie pochlebiał.

— Macie przecież tylo, że dziewcze nie potrzebowałoby się mitrężyć.

— Kaj tam!

— Albo to ja nie wiem? Mówięć to zawsze waszemu, jeno że mnie nie słucha, bodaj go gęś kopła!

— To i co mu pan Karol mówi?

— Że mógłby przecie wcale inaczéj kierować się na świecie, ależ on pono was się boi.

— Mnie? No, widziciesz! a to co?

— Abo ja mu zawsze gadam, by za drogie pieniądze gospodarstwo sprzedał. . . .

— Po kiejlicho, panie Karolu? A to mi co nowego! Najsłodsze imię Jezu! — i kobieta przeżegnała się niby na odpędzenie złego.

— Jużciż ja wiem, i lepiéj to rozumiem, moja gosposiu jedyna, a wam i waszemu szczerze życzę, gdyby brat rodzony. A czy to wasze chałupsko nie lezie w ziemię i będzie trzeba za lat pare o innem pomyśleć?

— No, jużciż prawda.

— A stodolsko jakie? hę? A chlewiki wyglądają niby czapka na bakier, czy nie?

— Jeszczeć nieszkodne, ale . . . .

— Ale potrzeba zaradzić, a takie zaradzenie to istna marnota, bo nie na długo. To więc tak radzę pani gosposiu: aby wasz gospodarstwo drogo sprzedał, zaprowadził się do miasteczka, tam rolę nabył, a przytém furmanił żydom i chwytał talarki, wypożyczał pieniachy na grosz wysoki i majątek zbijał. Zostalibyście od razu obywatelką; Jagulka-by wyrosła

na miejską pannę; Ignaś na syna obywatelskiego, i kwita. Nie potrzebowalibyście harać, gnarować, a mielibyście wszystko, jenoby ptasiego brakowało mleka.

— Wszelakoć to człek wzrósł przy roli i wej w tym stanie naszym .... — jąkała się pani Jaskólska in spe, której złote gruszki na wierzbie, przez chytrego pokazane Werdę, bardzo ponętnie zamigotały.

Niecny faktor jeszcze dogadywał, łudził; napił się kawy z gosposią, bo przysmak ten już jest dosyć upowszechnionym pomiędzy wieśniakami w księstwie, — a jak odszedł, Jaśkowa dumała, marzyła, i ciągle jéj na myśl przychodziło, co kusiciel był powiedział.

Jagulka gęsi przygnała, płacząc na ścierniskiem (rzyskiem) pokaleczone nogi. Ignaś proszczaka gdzieś zgubił; — Jaśkowa się nagniewała, nałajała, dziewczęciu nogi opatrzyła — a potem dumała i dumała, skubiąc kłoski na wieczerzę.

Gdy przyszły jesienne zasiewy, potrzeba Jaśkowi było piękniejszego żyta, i otóż za poradą Werdy, znowu u pana Kopfmana pożyczkę uzyskał i czystem gdyby łza ziarnem dobrze uprawny łan obsiał.

Tymczasem przebiegły Karol coraz częściéj na hubę zaglądał, coraz częściéj z panią Jaskólską kawkę zapijał, do któréj zwykł był przynosić to rządek

smacznego kołacza, to wiązkę pracelków (obwarzanków); częściej miętówką od cholery prostodusznego częstował gospodarza, — i otóż na drugą jesień, Jaśko Jaskółka piękny zrobił handel: sprzedał niby to za drogie pieniądze ojcowską rolę i zaprowadził się do miasteczka.

Na wymyślali ć mu za to Michał i Sobek Podolakowie, rodzeni bracia Jaśkowej, ale stało się; — i Jaśko im jeszcze powiedział: że kiejno zobaczą, jak to jemu się powiedzie, gdyby z płatka wywinął, to i oni za jego pójdą przykładem.

Z początku szła furmanka naprawdę, jak gdyby z płatka wywinął: miał tęgie konie i jeździł, gdyby kawalerski stangret, to też wszyscy najmowali go chętnie. Pani Jaskólska urządziła sobie wygodnie a porzadnie izdebkę; włożyła czepiec ze wstęgami, sprawiła sobie, porzuciwszy strój wiejski, jeden i drugi tołubek, a raczej szlafroczek, i kierowała się całemi siłami na miejską obywatelkę.

Ależ niezawsze to potem szło, jakby z płatka wywinął — potrzeba było podatki opłacać, żyć z grosza, obrok drogo kupować; koń jeden padł na ślizgawicy i zmarnował się; drzewo było drogie, zarobku przybrakło, — a w końcu zaczął Jaśko i często do szynku zaglądać: w święta, w dni targowe, a potem

już i każdego dnia. I tak we trzy lata po sprzedaniu roli Jaśko już nie miał czém furmanić, tylko z siekierą chodził; pani Jaskólska wynajmowała się do prania, do pielenia, a dzieci obywatelskie pasały gęsi; mieszkali w nędznej, dymiącej izdebce, w garnek nie było co włożyć, a na Jaśka przychodziły czasem dni takie, że i wcale z szynku nie wyjrzał. Żona płakała, kłóciła się, wyciągała go z poza stołu, on ją odpychał a niekiedy i skrzywdził, i gdy do domu wrócił pijany, to i dzieciom się dostało i resztę garnków potłukł. Któżby dzisiaj owo porządne, pracowite, zgodne był poznał stadło? — Jaśkowa też strasznie na Werdę pomstowała, tak, że gdy ją zdaleka zobaczył, to brał nogi za pas i znikał jej co tchu z oczów, niby kamfora bez pieprzu.

Dnia jednego znowu Jaśka widać nie było, a przysłali po niego od burmistrza, by drzewa narąbać przyszedł. Jaśkowa więc pobiegła do szynku na rogu, wpadła do izby i właśnie dojrzała, jak Werda drugiemi wyskoczył drzwiami, dosiadł konia uwiązanego w podwórku i dalej w nogi mój drogi. Sypnęła tylko za nim całym słownikiem obelżywych wyrazów i złorzeczeń. W szynku było jeszcze kilku chłopów, jeden gospodarz z hubów zabrzeskich, któremu się niewiodło, to więc pewnie pan Karol Werda właśnie

nań godził o sprzedanie roli, której sam podołać nie mógł.

Jaśkowa rozżarzona żalem i gniewem, pochwyciła męża za rękę i ciągnęła go do domu. Jaśko zaczął coś bełkotać, śpiewać, podkrzykiwać, wydzierać się żonie, potem ją uderzył, zatoczył się, i na ziemię runął. Biedna kobieta załamała ręce i z głośnym płaczem na ulicę wybiegła.

— A co to, Maryśko, a co to? — wołał na nią głos przyjazny.

Zwróciła się i zobaczyła obudwóch braci, Michała i Sobka. Nuż do nich z użaleniem i z płaczem i z przekleństwem na kusiciela. Rozprawiali coś długo; wypytywali o coś tam babiny siedzącej nad chlebem — i poszli sobie. A Jaśkowa niby spokojniejsza do domu wróciła.

6.

. . . . . .
Lecz narodu duch zatruty,
To dopiero bólów ból!
(Psalmy.)

Tadeusz bawił z Antonim a pułkownik wyjechał konno, by zajrzeć co tam dzieje się w polu. Jadąc przez wieś zwykł był baczne oko zwrócić na wszystko: tam połajał, że nieschludnie było przed domostwem; tutaj zobaczywszy naderwany komin, rozkazał przywołać natychmiast murarza, by ztąd jakie nie wynikło niebezpieczeństwo; tam potrzeba było dach naprawić, i stósowne wydał rozporządzenie; a tutaj napomniał matkę, że jéj dziecię blisko kałuży pełzało. Zatrzymał się przed kuźnią; przystanął przed karczmą, — i wszędzie miał coś do powiedzenia, wszędzie z troskliwością zacnego pana włości złemu wcześnie zaraz zapobiegł. A potem truchteczkiem, mru-

cząc sobie zcicha jaką dawną wojacką śpiewkę, puścił się drogą przez rodzajne pola Gruszczyna.

Zaledwo staj pare był ujechał, gdy spotkał pana Nicefora.

— Dobry wieczór, Nicusiu!

— Dobry wieczór panu dobrodziejowi. Wybrałem się do Gruszczyna — odrzekł Nicefor, ocierając pot z czoła.

— Bardzoś grzeczny, miły chłopcze. Nawróć zemną. Skręcimy koło krzaków przez pole ku Gruszczynowi. Chcę pszenicę zobaczyć. Tadeusz jest w domu z Antosiem. Pojedziemy wolno i pogawędzimy sobie.

— Tam za krzakami ktoś jęczał. . . . .

— I nie zobaczyłeś kto?

— Nie . . . . pewno to jaki łazęga, których włóczy się tyle.

— Wszelako należało zobaczyć: może potrzebuje pomocy.

— Z Rawicza znowu kilkunastu wyłamało się złodziei. Pod miasteczkiem spotkałem jakiegoś człowieka bardzo podejrzanej miny.

— Ej do licha! Przecież rozboju nie popełnią na naszych polach odkrytych.

— Niemożna dowierzać. . . . .

— Chyba jesteś pod wrażeniem jakiego świeżo

przeczytanego romansu o bandytach włoskich — zaśmiał się pułkownik, ale zaraz znowu z chmurniejszém dodał czołem: Dużo nędzy, dużo demoralizacyi, sprawionej biedą i złemi wpływami, nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! Lecz drogi nasze przecież jeszcze bezpieczne. — W tém doleciało go głuche, bolesne jęczenie, i skierował konia w zarośle.

W krzakach, o kilkadziesiąt kroków ode drogi, leżał człowiek krwią zbroczony.

— Cóż to? Kto jesteś? — zapytał pułkownik, pochylając się nad nim.

— Jaśnie wielmożny panie! . . . Zabitym . . . . Zabitym . . . O Jezu, Marya, r e t y!

— Któż cię zabił?

— Chłopi . . . chłopi . . .

— Jacy chłopi?

— Z lasowskich hubów, jaśnie wielmożny panie, Podolakowie. Jezu, mój Jezu!

— Kto jesteś?

— Pisarz z Lasowa, Karól Werda, jaśnie wielmożny panie. Jechałem za interessem pańskim, zastąpili mi drogę, ściągnęli z konia, zrabowali, zabili . . . . O Jezu! . . . R e t y, Maryo!

— Każę cię zawieść do siebie, do Gruszczyna, i rany opatrzeć. Bądź cierpliwym na chwilę.

— Jezu mój! Niech jaśnie wielmożnego pana Bóg błogosławi i matka najświętsza!

— Mój Nicusiu — wyrzekł pułkownik wracając na drogę — jak'eś dobry, dojedź do Gruszczyna co prędzéj i powiedz Tadeuszowi, ażeby tu bezwłocznie ludzi z wozem usłanym po rannego przysłał.

— Widzi pan pułkownik, a nie mówiłem?

— To i cóż mówiłeś? Nie bandyci to żadni, tylko zwyczajnie pijani pobili się chłopi. Złe to poprawdzie wielkie, nieszczęście, ależ nic nadzwyczajnego. Pospieszaj tylko, mój Nicusiu, ja tymczasem zatrzymam się tutaj.

— Pan dobrodziéj? A to po co?

— Po co? Ot ruszaj z kopyta, dalej, ostro!

Pan Nicefor pocwałował ku Gruszczynowi, lecz trzymał się drogi nie po stronie zarośla.

W pół godziny potem już pokaleczony Werda leżał na wygodnie usłaném łóżku; pani Warchlewska, stara gospodyni we dworze gruszczyńskim, sama mu rany obmyła; a Tadeusz, który na uniwersytecie uczęszczał był i na wydział lekarski, by w razie nagłéj potrzeby umieć stósownych użyć środków, chorego opatrzył. A ciężkiemi były te razy, bo zanim doktor z miasteczka nadjechał, Werda mocnéj dostał gorączki.

— Nicpoń, urwisz! — mruczał sobie Mateusz, słysząc o przygodzie nienawistnego Karóla. — Zasłużyłci niewiara na taką frycówkę, aleć to wszelako niegodliwie zrobili. Pan Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy, i człek, katolik dobry, niepowinien sobie sam pomstę wymierzać, chociażby ku temu i największą miał pokusę.

Przez dni parę Werda mocno chorował, ale krzepka znać w nim była natura, przyszedł rychło do siebie i już dnia piątego, pożegnawszy dobrodziejów swoich, uściskawszy, ucałowawszy im nogi, do Lasowa powrócił.

Tymczasem Tadeusz, dowiedziawszy się przez Mateusza o całéj doli nieszczęsnéj zawiedzionych Jaskółków; słysząc, że biedna Jaśkowa hara i gnaruje, jak może, by wszyscy z głodu nie pomarli; po naradzie z ojcem, w chęci zacnéj zapobieżenia nadal ostatecznéj demoralizacyi podupadłéj rodziny, — wziął ich na komorne do Gruszczyna. Za tym przykładem poszedł i pan Kłosowski, bo gajowym u siebie zamianował jednego z wykupionych także hubiarzy; zrobiła toż samo i pani Sielska, potrzebująca właśnie rataja.

— Potrzeba złemu zapobiegać — wyrzekł pułkownik — potrzeba rękę podać nieszczęśliwym i upadłym, by całkowicie nie zagręźli w kale; by ich od

występku uchronić. Czyńmy co możemy, bo tak każe powinność, tak każe miłość bliźniego, owa pierwsza zasada prawego Chrześcianina-katolika.

W dni dziesięć po przygodzie Karola Werdy, zawitali niespodzianie do gruszczyńskiego dworu: komisarz obwodowy i dwóch żandarmów.

Było to właśnie w czasie objadu i nieproszeni goście weszli do sali jadalnej.

— Co to! pan komisarz? Cóż się stało? — porwał się pułkownik.

— Nic, panie dobrodzieju. Mam rozkaz, w skutek zaszłej denuncyacyi, aresztowania pana Antoniego* emigranta z królestwa — przemówił komisarz nieco łamanym językiem, kłaniając się grzecznie.

Wszyscy powstali. Pułkownik zbladł — zsiniał — i słabnąc nagle, na krzesło upadł: w jego domu aresztowanie przyjaciela, to był cios zbyt straszny.

— Pan Antoni* podał się do amnestyi — wystąpił Tadeusz, blady ze silnego wzruszenia — i protestujemy przeciwko jego aresztowaniu: lada chwila pomyślna nadejdzie odpowiedź.

— Niema protestacyi, panie dobrodzieju — odrzekł komisarz, ruszając ramionami — mam wyraźny rozkaz.

— Nie narażaj się próżno, Tadeuszu — prosił Antoni, biorąc rękę przyjaciela — nie lękam się ni-

czego: pojadę z tym panem. Myślę, że tu jaka zachodzi pomyłka.

Tadeusz lękając się o przyjaciela, przerażony o ojca, daléj jeszcze sprawy téj bronił; pan Antoni złożył dowody podania swojego, które był przesłał poselstwu rossyjskiemu w Berlinie, ale komisarz ciągle tylko odpowiadał:

— Ja nic nie mogę, ja mam rozkaz taki.

Pułkownik ochłódł po chwili, podniósł się na pozór silny i na cios każdy wytrwały, ale dziwnie zmieniony na twarzy. Przemówił także do komisarza: żądał zwłoki — chciał kaucyą złożyć: poręczenie z osoby i majątku, lecz wszystko było daremne. Komisarz odrzekł tylko:

— Taki nam rozkaz, inaczéj postąpić nie mogę.

Pod eskortą żandarmów powieziono Antoniego do powiatowego miasteczka. Towarzyszył mu głęboko dotknięty Tadeusz; czynił i tutaj wszelkie starania, by go uwolnić, lecz wszystko było bezskuteczném.

W hotelu, gdzie stanął, jeden tylko porządniejszy był pokój gościnny. I ten nawet lichą i niewygodną był izbą. — Cywilizujemy się niby, to jest: przejmujemy to, bez czegobyśmy się najzupełniéj obejść mogli, z czém nam nie do twarzy wcale; ależ to, coby nam naprawdę potrzebném było, zaniedbaném pozo-

staje. Jak n. p. tak nazwane hotele po miasteczkach, które podróżnemu żadnéj nie zapewnią wygody. Stróż lub dziewczyna wtedy dopiero zacznie w piecu palić, gdy gość zziębły zawita, a piec dymi lub swędzi, drzwiami i oknami swiszczy, a na ściany zamróz występuje. Potém piec się rozpali, że i dostąpić nie dozwoli, a na izbie zimno, bo jéj nieopalono od dawna.

Była to wprawdzie piękna pora wiosenna, gdy znękany zmartwieniem i niepokojem Tadeusz do swojéj wszedł stancyi, ale deszcz lał właśnie strumieniami, miotał nawalnie po oknach i pryskał gęstemi sparami na pokój, na kulawe krzesła czerwonym bombasem pokryte, na komodę brzozową podpartą cegiełką w miejscu czwartéj nogi.

Tadeusz rzucił się na twardą kanapę i zakrył dłonią oczy, które łzy młode zwilżyły. Były to perły — drogocenne perły: namaszczenie do przyszłéj niedoli żywota — do przyszłych poświęceń. — Dość długą chwilę tak przebył, gdy zwolna drzwi odemknięto, ale, że zawiasy były stare, zardzewiałe, więc pomimo wszelkiéj ostrożności niemiłosiernie skrzypiały.

— Może przeszkadzam panu dobrodziejowi — ozwał się głos potulny.

Tadeusz się porwał zarumieniony: gospodarz zajazdu stał przed nim.

— Panie dobrodzieju, przyjechał pan jakiś ekstrapocztą i stanął u mnie. Czy nie przyjąłbyś go paniczek do swojego pokoju? Deszcz leje. . .

Tadeusz wolałby był sam pozostać, ale poczciwe serce jego nie umiało tak drobnej odmówić przysługi.

— Dobrze, owszem, proszę. Ale któż jest ten pan? — zapytał od niechcenia.

— Jakiś hrabia, z królestwa podobno. Pozwoli pan dobrodziej, to go zaraz wprowadzę. Grzeczna to bardzo osoba.

Tadeusz stanął przy oknie: woda całe podwórko zamieniła w kałużę; pod wozownią kilka kur przemokłych tuliło się po-za pięknym powozem.

Pan podróżny wszedł do pokoju: był to mężczyzna lat średnich dziwnie szlachetnego wyrazu, okryty płaszczykiem z gutta-perchy. — Tadeusz się odwrócił i na widok tej twarzy ujmującej, przyjemnego doznał wrażenia.

— Wybacz panie, że się narzucam: czynię to na zasadzie gościnności ojców naszych, bo gościem jestem u was w księstwie — wyrzekł nieznajomy z nader miłym uśmiechem — a nadto cieszę się, że przyjemną zrobię znajomość.

Tadeusz uprzejmie podał mu rękę.

Wymienili nazwiska swoje. Zawiązała się gawę-

dka — z gawędki wyrodziła się rozmowa. — Otwartość, szczerość, ufność — ufność i wiara niekiedy za wielkie nawet! — wylanie uczuć, to nasze cechy narodowe. Podzielamy chętnie i radość i wesele, gdy serce szczęściem napłynie; dzielimy i smutek — i łzy, które w krainie niedoli częstymi towarzyszami bywają! — Udzielamy sobie każdej wieści skwapliwie — bo w lada nowinie widzimy zaraz promyk lepszego jutra. I jakżeżby się taki wielkiem dobrem z przyjacielem nie podzielić? — Wywnętrzamy się radzi z żalami naszemi, bo ból ten bratniego potrzebuje współczucia. — Tadeusz pod każdym względem narodowy odziedziczył charakter, to więc i niebawem, przeczuwając duszą, że szlachetnego widzi przed sobą człowieka, opowiedział mu świeżo doznaną boleść. Przeszedł następnie i do innych przedmiotów, których taka nastręczała się obfitość. Gość jego mało znał księstwo — wypytywał — słuchał — badał — i coraz piękniejszą stronę w młodym towarzyszu wykrywał. Rozmowa stawała się coraz więcej zajmującą — silny interes wzrastał — i ani spostrzegli, jak pare uleciało godzin. Tadeusz czuł się wskrzepionym, orzeźwionym, podniesionym na duchu, jak to zwykle bywa, gdy w cięższej chwili żywota szlachetną napotkamy duszę i współczujące dla nas uderzy serce!

Deszcz ustał. Szare przeciągnęły chmury. Ponad miasteczkiem pogodnie zabłękitniało. Przed zajazdem trąbka pocztarska zadźwiękła.

Podróżny powstał a za nim i młody Dolewski.

— Zobaczymy się jeszcze w życiu — wymówił, ściskając rękę Tadeusza. — Nie zapomnę rozmowy naszej. A jeżelibyś kiedy, krytycznemi okolicznościami był zmuszony sprzedać włość swoję, wówczas młody przyjacielu, zechciej zgłosić się do mnie. Krótko się znamy, ale dałeś mi się poznać od razu, i ze szczerego serca ten daję ci tytuł.

Tadeusz był rozrzewniony.

Trąbka po raz drugi zadźwięka. Wszedł lokaj i oznajmił panu hrabiemu, że wszystko gotowe.

Nowi znajomi uścisnęli się szczerze.

Gdy Tadeusz pod wieczór do domu powrócił, zastał ukochanego ojca obłożnie chorym: doznane zmartwienie cios zbyt dotkliwy silnej jego zadało naturze. — Przy nim siedział poczciwy ksiądz Zarzecki i słowem Bożem strapionego pocieszał.

Nie było czasu poszukiwać, kto tę nikczemną mógł był denuncyacyją uczynić, ale Mateusz wzdychając

ciężko i złorzecząc, sumitował się: że występku takiego jeden tylko Karól Werda się dopuścił. I cała służba jednego z nim była zdania.

— Podła niewiara, żmija chytra — dodał ocierając łzę rękawem — znalazł litość, miłosierdzie, opatrzenie, a tak się wywdzięczył, kiejby szatan istny. Bóg sprawiedliwy, chociaż nierychliwy!

7.

Ha! był to rycerz polskiego przymierza,
Bo pamięć dziejów łączył do pacierza.
Wincenty Pol.

Bóg sieje ludzi — czlek sypie mogiły.
Wincenty Pol.

Czternastego dnia choroby cicho było i smutno w całym Gruszczynie, bo pan kochany i szanowany powszechnie, dogasał ciężką wyniszczony chorobą.

W koło dworu krążył wybladły Mateusz, spoglądał ku drzwiom, ku oknom, czyli nie zobaczy kogo i jakąś lepszą nie usłyszy nowinę.

Janek w zielonej kurtce ze sieni wybiegł.

— A co tam słychać, Jasiu? — zapytał, przemagając wstręt swój do chłopaka, i przystąpił bliżej.

— Co ma być słychać? Będzie pogrzeb i kwita. Zażądał jeszcze pana Kłosowskiego — i świszcząc poskoczył ku stajniom. Mateusz zgrzytnął zębami i zcicha złowrogie za nim wysłał wyrazy.

Tymczasem nadeszła z drugiej strony dworu zapłakana Warchlewska.

— A co tam, pani Warchlewska? A jak tam z naszym paniskiem?

Kobieta spojrzała ku niebu i zalała się łzami. Mateusz oczy spracowaną przetarł dłonią — głosu mu zabrakło.

— Spowiadał się . . . . proboszcz olej święty na niego włożył. Wszystkich kazał pożegnać — zakryła twarz fortuchem i głośno załkała.

W piersi Mateusza płacz jęknął; nasunął czapkę na oczy i zwolna poszedł w dziedziniec.

W sypialni chorego uroczysta święciła chwila.

Przy łóżku, z czołem na dłoń opuszczoném, siedział Tadeusz: ból trwogi śmiertelnej, tęsknej rozpaczy, miotał piersią synowską — mniemał, że i z serca jego krwi stygnącej kroplami, młode ustępuje życie: że zgonu ojca nie przeżyje, który jemu był wszystkiem, na całym, wielkim obszarze świata! — Och! a ta wiedza że przyszła chwila zabierze wszystko, wszystko co było najukochańszém w życiu — ta trwoga — rozpacz — tęsknota krwawa — to konanie serca wrzą-

cego miłością — wielki Boże! — nie jest-że to namaszczeniem do przyszłego lepszego żywota!

Nie przeżyć najdroższej na ziemi istoty, to tylko kilku wybranych błogosławionym bywa udziałem.

Bliżej okna sędziwy proboszcz, marmurowo-blady, z lśniącą łzą na powiece, ciche zmawiał pacierze.

Skośne od zachodu promienie raz jeszcze złocąc wszystkie w pokoju przedmioty, rzekłbyś, że tym uśmiechem ostatnim, żegnają ostatnie chwile cnotliwego męża.

Zajaśniało w rumianym połysku szlachetne oblicze kochanego wodza, Henryka Dąbrowskiego, zawieszone naprzeciw łóżka; obok tegoż piękne wizerunki naszej chwały narodowej, uosobionej cnoty: Tadeusza Kościuszki i Bajarda polskiego, księcia Józefa, rycerza bez trwogi i zmazy. A nieco niżej pare obrazów z życia cesarza Napoleon I, pod którego sztandarami stary wojak walcząc o najdroższą i najświętszą po ojcach spuściznę, niegdyś dobijał się sławy. — Błysnęły dalej kosztowna strzelba i pałasz, który w bojach krwawą torował mu drogę.

Dogasający wzrok zamglony ku tym drogim zwrócił pamiątkom, i nieziemskim blaskiem konająca połysnęła źrenica. — Potem spojrzał na wiszący po-nad łóżkiem obraz miłego lica kobiety, niby uśmiechnię-

tej do niego — i coś dziwnie zajaśniało oblicze, już cieniami śmierci przysłonięte. Popatrzał się w słodkie wejrzenie tej, która niegdyś po trudach i znojach słodziła mu życie; której zgon przed kilkunastu opłakał laty — teraz, przyszła chwila połączyć ich miała! — A więc zrozumiecie tę dziwną jasność na obliczu jego, ten odbłysk wiekuistego szczęścia! — Wzniósł oczy ku Zbawicielowi na krzyżu — złożył drżące dłonie i ociężałe przymknął powieki.

Cisza grobowa smutną zaległa komnatę.

— Tadeuszu! . . . . Synu mój! . . . Tadzio! — poszepnął umierający po chwili, zwolna unosząc rękę. — Raz jeszcze . . . . moję dziecię . . . .

Tadeusz na kolana przy łóżku upadł. Dłoń ojca spoczęła na jego pochylonej głowie i błogosławieństwo wraz z gorącą modlitwą uniosły się do tronu Boga.

Bolesne — głuche — tłumione łkanie dawniejszą zastąpiło ciszę.

— Dziecię moję . . . . mój synu! . . . . Przekazuję ci moję miłość gorącą dla kraju . . . nieszczęścia nasze i wiarę niezachwianą!

— Mój ojcze! . . . Mój ojcze! — jęknął młodzian z głębi duszy.

— Przyjąłes chrzest świętej wiary . . . . chrzest łez i niedoli . . . . poświęcenia bez granic! . . . . Znam

twoję duszę, twoję serce . . . . Poświęcenia! . . . Poświęcenia! . . . . — rozrzewnienie stłumiło dalsze wyrazy, które Tadeusz we własnéj dopełnił duszy, które na zawsze w swoję wrył serce.

— Dziecię moję . . . . zostawiam ci kawałek ziemi . . . . strzeż téj ojcowizny, aby się w obce nie dostała ręce . . . . Tadeuszu! — nagły, gorączkowy rumieniec zapalił mu lica. — Nie pozbywaj téj ziemi obcym . . . . pod żadnym warunkiem, za żadną cenę! . . . Przyrzecz mi to, mój synu!

— Przysięgam, ojcze, przysięgam!

— Skończę spokojniéj . . . Oni nie wiedzą co czynią . . . . Bóg litości i miłosierdzia! . . . . Jasność nad ziemią moją! . . . . . .

Tadeusz wrzącą duszą pochwycił ostatnie, święte wyrazy ojca. Klęczał przytulony twarzą do posłania, — można było gwałtowne uderzenia rozkrwawionego posłyszeć serca.

Zamierzchło. Podniowy spokój powiał od pola. Zgododźwięcznie zaległ odgłos na Anioł pański w uciszoném przestworzu. — Spełniło się przeznaczenie ziemi — jeden z najgodniejszych ludzi żyć przestał: świat był za małym dla tak wielkiego serca! — Tadeusz zemglał przytłoczony boleścią sieroctwa.

Dnia czwartego ponieśli licznie zebrani obywatele ciało ś. p. Ignacego Dolewskiego na miejsce wiecznego spoczynku. Tłum ludu wieśniaczego przepełniał kościół i smętarz.

Za trumną szedł Tadeusz blady, bólem przybity, ze spuszczoną głową — z suchém okiem, lecz sercem krwawemi zalaném łzami.

Wśród grona kobiet postępowała pani Sielska, chmurna, posępna, ale wyprostowana i zimna — obojętna na pozór. Przy niej bledziuchna Zofija, bledsza jeszcze przy czarném ubraniu: widocznie serdecznem, niewieściem, głębokiem współcierpieniem sierocą boleść Tadeusza dzieliła. Wszakżeż i ona już ojca nie miała! A pamiętała owe straszne, przebolałe chwile — a kochała ojca po-za grobem jeszcze i każdą jego święciła naukę.

Wystąpił jeden z współobywateli i w pięknie ułożonéj mowie skreślił żywot zmarłego, pełen wyższych zasług i najcnotliwszych zabiegów.

Po nim ksiądz Zarzecki głos zabrał — przyjaciel wieloletni — domownik, pasterz jego i spowiednik. Nie w tak dobranych wprawdzie wyrazach i nie tak potoczysto jak poprzednia, płynęła mowa sędziwego kapłana, lecz więcéj jeszcze poruszyła serca. Wymie-

nił i on ciche i najskrytsze a tém piękniejsze, tém zbawienniejsze czyny nieboszczyka — i po pare razy miłknął na chwilę, by stłumić łzy w głosie, silnym żalem sprowadzone. — A gdy słowa swoje zwrócił do Tadeusza, natchnioną duszą kapłana Bożego, wyrazy świętej religijnej pociechy rwały się prądem i wzrastały wymową, siłą, i namaszczeniem. Kazał synowi iść torem ojca i z pokorą, z wiarą niezachwianą spełnić swoje na ziemi zesłanie. Wskazał mu ziemskie życie jako chwilową, przejściową pielgrzymkę, po-za którą jest Bóg wiekuisty w niepojętej wielkości swojej, w nieprzebranem miłosierdziu swojém! — Potém przemówił do współobywateli i polecił ich sercu syna zasłużonego męża i prosił, by nań przeleli przyjaźń, jaką mieli dla ojca. — Ozwał się w końcu i do wieśniaków: by dobrem za doznane dobro odpłacali synowi tego, który tak szczerze zawsze niósł im życzliwość i wsparcie, który w ciężkiej niedoli zwykł był z pomocą i ratunkiem przyspieszyć. —

Zaszczękła poruszona trumna — głucho na niej kilka garści ziemi zajękło. Płacz głośny rozległ się w koło.

Zofiją uprowadziła pani Kłosowska z smętarza — sama łzami zalana — bo zdawało się, że serce dziewczęcia tyle żalu nie zniesie. Pani Sielska chmu-

rniejsza jeszcze ale zawsze wyprostowana i spokojna, udała się za niemi.

Biedny Tadeusz pierś przebolałą do świeżego przycisnął grobu. Przy nim stał Aleksander, kryjąc twarz w dłoniach — bo wszakżeż nie było wyrazu na pocieszenie przyjaciela.

8.

A święte to ręce ojcowskie co biją;
Znaj rękę ojcowską — a szanuj Maryą!
Wincenty Pol.

W Golędzinie przy końcu wsi stał dom ładny, murowany, pod czerwonym dachem; otaczał go ogród niewielki, opasany płotem, było tam i pare drzewek owocych, zagony z warzywem, które wszelako mimo ziemi pięknej, nader lichy miało pozór.

Po jednej stronie domu była wielka izba przeznaczona na szkołę; po drugiej dwa pokoiki składały pomieszkanie nauczyciela. Był właśnie dzień niedzielny i poobjednia godzina.

Rodzina nauczyciela, pana Wincentego Murawki, zebrała się w pierwszym pokoju, przybranym elegancko i zbytkownie, jak na nauczyciela wiejskiego. Widzimy tam dość duże lustro w złoconych ramach, kanapę i krzesła powleczone adamaszkiem wełnia-

nym, jakąś serwantkę zastawioną skorupkami nieużytecznemi, firanki przejrzyste, fortepian i t. p.

Pod oknem dwóch mężczyzn grało w karty, i zapijali grog z dużych szklanek. Jeden z nich młody, przystojny, był sam gospodarz domu; drugi znany nam pan Karól Werda. Dziś wszelako niekażdy zaraz na pierwsze poznałby go wejrzenie: pisarz lasowski coś dziwnie spanoszał od ubiegłej wiosny, od plag odebranych z dzielnych dłoni Podolaków, którym ta gratka uszła na sucho, bo świadków nie było.

Przy piecu, na niskim stołeczku, przykucnęła sędziwa matka Wincentego Murawki, wdowa po majstrze kuśnierzu, znanym niegdyś w całej okolicy i cenionym jako rzetelny i poczciwy rzemieślnik. Pani majstrowa mieszkała przy synie odkąd w szkole golędzińskiéj przewodził, i prowadziła mu gospodarstwo wzorowo, dopóki pod czerwony dach szkoły inna niewiasta, w postaci młodéj i ładnej żony, swojego nie wniosła wszechwładctwa. — Stara pani Murawczyna trzymała różaniec w ręku i ciche szeptała pacierze — a niekiedy zadrzémała nad niemi, nieboga. Perkalikowy czyściutki tołubek i fartuch szeroki, świeży, w białe i czerwone prążki, na głowie czepiec muślinowy, bielutki, skromny, stanowiły jej ubranie.

Na kanapie przy drugiem oknie siedziała pani nau-

czycielowa, od lat dwóch dopiero żona pana Wincentego Murawki, córka poborcy z miasteczka. Młoda jejmość czuła się w Golędzinie nie na swojém miejscu: raziły ją wiejskie pędraki i chłopstwo, a szczególniéj też, że mąż zarazem i funkcyą organisty pełnił. To ostatnie niekiedy, o mało że ją spazmów nie nabawiło — biedną kobietę!

Zacna obywatelka w sąsiedztwie — jeden z ostatnich w księstwie zabytków dawnych matron naszych, sędziwa hrabina w Iłżycach, była matką chrzestną pani Wincentowéj i darowała jéj na wiązarek pięcset talarów, które młodym małżonkom w dzień ślubu wypłacone zostały. Matka młodej pani była przez lat kilkanaście garderobianą przy hrabinie, i ztąd ciągle jeszcze jéj łaski na całą spływały rodzinę. Te pięcset talarów zdawały się pani Wincentowéj niewyczerpanym być skarbem, i stosując się do danego jéj z góry przykładu, zaczęła od kupienia sobie strojów — bardzo naturalnie. — Urządziła pokoiki g a l a n t o, jak mówił stary sołtys, któremu ta pańskość nie podobała się wcale, i starała się we wszystkiem naśladować panią Aleksandrową Golędzką — znowu bardzo naturalnie. — Pani Aleksandrowa miała w kościele śliczną aksamitną okrywkę, pani nauczycielowa taką samą mieć musiała, choćby z manszestru tylko. Dzie-

dziczka wyszła na przechadzkę w pięknym kaszemirowym burnusie piaskowego koloru, z bogatym w koło haftem, pani nauczycielowa sprawiła sobie podobny z serafinu suto naszyty taśmami, gimpkami, guzikami — bo i dla czegóż tego zrobić nie miała? — Pani Aleksandrowa nosiła tylko jedwabie, cienkie bareże, batysty prawdziwe, organtyny, rojaliny, i tym podobne modne iny, to więc i pani Wincentowa Murawczyna znienawidziła perkalik — wszakżeż i to było comme de raison, bo perkaliki są nietrwałe! — Dziedziczka ciągle miewała gości, których bardzo wykwintnie i wystawnie podejmowała, to też i pani nauczycielowa spraszała sobie kogo mogła, choćby i Karola Werdę, i częstowała grogiem.

Pani Wincentowa Murawczyna miała na sobie jakiś szlafroczek jedwabny w kratkę, którego nie zdjęła wróciwszy z kościoła, i czepeczek z długiemi czerwonemi wstęgami; rozparła się na kanapie dość wygodnej i miękkiej, i postawiła nogi na ławeczce polerowanej, strojne w pstre pantofelki, haftowane na kanwie, istnie jak dziedziczka na werandzie.

I pani nauczycielowa była cierpiąca, była i znudzona, bo chciała do miasteczka pojechać a furmanki nie dostała! —

Drzwi roztworzono szeroko i ukazał się żyd rudo-

brody z ogromnym na plecach tobołem; za nim żydziak z kędzierzawym włosem, także z tobołem, i blade dziewcze żydowskie, dźwigające jakieś pudło i zawiniątko.

— Josek! — zawołała pani nauczycielowa, nagle ożywiona widokiem tylu towarów.

— Upadam do nóg państwa. Niech państwo będzie zdrowe. — Josek rzucił tobół o ziemię, a blada żydoweczka zamykająca pochód, zwolna drzwi za sobą zatrzasła.

— Jejmość zdrowa, no, niech będzie Bogu dzięka — i cmochnął ją w rękę. — A pani majstrowa, no, pani też zdrowa, alles güt! — i pocałował także starą Murawczyną w rękę, która mu ją wszelako usuwała z niechęcią. — I pan nauczyciel zdrów, i wielmożny pan pisarz, no, Gott der Gerechtige, wszystko dobrze, ganz güt. Aj! — odetchnął ciężko i otarł pot z czoła. — Pack uf, weis her! — zawołał na żydziaka, który też niebawem tobół rozwiązał i rozliczne towary zaległy w koło.

— Rarytny towar! Epes rores, ca ca ca ca ca! — kląskał Josek, rozkładając jakieś kraciaste, ladajakie tkaniny. — Pani Kłosowska w Mystkowice tego całe pół sztukę wzięła, wahrhaftigen Gott! A z tego kupiała wielmożna pani Sielska

w Zabrzeziu dla wszystkich trzech córek swoich, jak Boga kocham!

— Po czemu to? — zapytała pani Wincentowa, a majstrowa przy piecu pokręciła głową i coś tam pod nosem mruknęła.

— Czi mom zacenić? Czi mom od razu powiedzieć rychtyg, za co będę mógł sprzedać? No, jejmości powiem, bo pani zno się na dobrego towarze. Sie weiss doch, a fajne Frau, soll ich leben! — zwrócił się do syna. — To i cóż mom cenić? Niech jejmość do za łokieć dobrego miary trzy złote.

— A to co? Czy kto słyszał! Pakuj się Josek. To mi się podoba.

— Ny, was thût sich, a waj! Hajrste? Wielmożna pani Sielska tak zapłaciła. Co jejmość do?

— Drogo bardzo, ani wiem co podać.

— Drogo? Jejmość do pół trzecia złotego. Wiele namierzyć? — i zaczął towar szybko rozwijać.

— Nie kupię tak drogo.

— Jeszcze drogo? Mnie same tyle kosztuje, Wahrhaftigen Gott, der Gerechte! No, co pani do?

— Półtora złotego.

— Aj waj! — zajęczał Josek i targnął pejsy i

brodę — Hajrste? Półtora złotego! So was lebt nicht. Mnie same więcej kostuje.

— Nie dam i grosza więcej. Przeszłego razu kupiec mnie oszukał, pamiętam to dobrze.

— Oszukał? Jak to oszukał? Ja oszukał? Na czem oszukał?

— Na tym muślinie. Zapłaciłam łokieć po ośm czeskich a Gawędzka po złotemu. Widzi kupiec?

— Oszukał, oszukał! Co to jest oszukał? Ny, jejmość będzie sobie zawsze panią, panią nauczycielową — i znowu cmochnął ją w rękę. — Znałem ja jejmość jeszcze taką maluśką.

— To i cóż z tego?

— I panią mamulę znołem, kiej jeszcze była w Iłżycach u pani hrabiny.

— Ej co tam! — skwasiła się pani Wincentowa, która tego nie lubiła przypomnienia.

— I byłem też u pani mamuli tamtego tygodnia, ona zawsze kupi odemnie, niech będzie zdrowa. — No, a co jejmość do? — i ułożył kratowaciznę we fałdy i trzymał ją pod światło.

— Dam półtora złotego.

— To nie zrobimy handel — i począł znowu równie szybko składać, zwijać i zawijać. — Pack zü, mach geschwind. Chciałem co stargować, ale

nie idzie. — A może jejmość kupi wstążki francuskie, ganz echt, ganz fein, abo koronki prawdziwe brukselskie, jak Boga kocham, soll ich gesünd sein. Weis vor, Rosele.

Żydoweczka rozwiązała pudło i pokazała barwiste wstęgi i jakieś liche, grube tiuliki. Pani nauczycielowa poczęła oglądać, odkładać, przymierzeć.

— Echt francuskie, Gott soll mir helfen. Takie same kupiała pani hrabina w Iłżyce, i pani dyrektorowa landszafty, wahrhaftigen Gott.

— A po czemu to?

I znowu rozpoczął się taki sam handel jak poprzednio, aż wreszcie Josek z dwóch sztuk wstążek po pare łokci odkroił i sprzedał, jęcząc i wzdychając, nadciągając i machając łokciem, by jak najmniej namierzyć.

— Co jo z jejmością mom robić? Aj waj! Moja szkoda, soll ich leben, ale muszę tańcować, jak jejmość graje. Niech pani ze zdrowiem nosi — zwinął wstążki i otarł pot z czoła.

Pani Wincentowa przymierzała je do twarzy, oglądała, a majstrowa przy piecu kłopotliwie pokręciła głową.

— Ny, a co będzie z tego materyą? — Wiela namierzyć? Gieb her die Ell'! Wiela jejmości namierzyć?

— Nie kupię bo za drogo.

— Co to jest za drogo? Niechno jejmość patrzy! — i znowu kratowaciznę rozłożył, opuścił falisto ku ziemi, i potrząsał, i nadstawiał, to przyskoczył, to się oddalił. — Was feines, soll ich gesünd sein! Te starsze pannę w Zabrzeziu w takie suknie chodzi, wahrhaftig. Jak jedwab, rarytne, soll ich leben. To niby dla księżnej, auf mein mones. Co jejmość do?

— Jak'em powiedziała: półtora złotego.

— To ladaco i tyle nie warte — ozwała się nakoniec zniecierpliwiona majstrowa.

— Tyle niewortne! Hajrste? Co niema być wortne? Dla czego nie wortne? Mnie same więcej kostuje, jak Boga kocham — i uderzył się w piersi — Wahrhaftigen Gott! Niech szczęśliwie przez tego próg nie przejdę, soll ich leben, to wielgie słowo! Ale kiedy pani raz tak powiedziała, a pani mamula mówiła, że niewortne tyle, ny to fort mit Schoden! — i wspaniałomyślnie rzucił towar na ziemię. — Ja z tego nie umrzę a jejmość niech zdrowo nosi. Wiela namierzyć? Gieb her die Ell!

Kędzierzawy żydek z łokciem przyskoczył, a Josek znowu machał i wyciągał, że z pewnością dużo nie domierzył.

— Z moją szkodą, niech do domu nie zalezę, aber was soll ich thün? Jejmość mi za tege materyą będzie dziękować. Niech jejmość zdrowo nosi — i położył przed nią kratowaciznę na stole.

— A co pani jeszcze kupi? Weis her die Tuchel. Śliczne chusteczki, gdyby atłos. Wielmożna pani Sielska pół tuzina kupiała dla córek.

Rozumie się, że pani Wincentowa także jednę wybrała.

Żyd wyciągał jeszcze różne różności w końcu tasiemki, nici, jedwab', szpilki, — a wszystko dwa lub trzy razy wyżej nad wartość cenił.

— Wicusiu — ozwała się nauczycielowa po obliczeniu wziętych rzeczy — zapłać za mnie pięć talarów.

Majstrowa ramionami ruszyła, skłoniła głowę, i znowu poczęła pacierze zmawiać.

— Pięć talarów! — powtorzył Murawka nieco zakłopotany, macając się po kieszeniach — mam tylko dziewięć złotych . . . . drobnemi — dodał prędko.

Czyliż owe pięcset talarów już były rozpryśnięte pomiędzy ludźmi?

— Nie masz drobnych? To i cóż będzie? dąsała się pani Wincentowa.

A może mieli listy zastawne, któż to wie?

— Pozwólcie państwo, to ja tymczasem założę, a

pan Murawka mi zaś odda — ozwał się Werda, powstał i dobył sakiewkę w której kilkanaście brzęczało talarów.

Pani Wincentowa uśmiechnęła się wdzięcznie. Nauczyciel tasował karty, a Werda wyliczył pięć talarów, które Josek obliznąwszy się zgarnął.

— A teraz pakuj się żydzie! — zawołał Murawka, lękając się pewnie, ażeby żona jeszcze do jakiego nie skusiła się kupna.

— No, no, zaraz. Niech państwo będzie zdrowe. Pack zü. Lad uf. Ny, Gott der Gerechtige. Adiu moja jejmość kochana, niech jejmość ostaje szczęśliwa, soll ich leben. — Cmochnął pare razy panią Wincentową w rękę, pożegnał wszystkich zosobna, skłonił się o ile mu toboł dozwalał raz jeszcze przy drzwiach, westchnął, jęknął, i z całym zniknął taborem.

— Panie Wincenty — zaczął teraz Werda, drugą szklanką grogu rozegrzany. — Jesteś pan przecie rozumny człowiek, nauczyłeś się dużo w szkołach, masz rozeznanie, to i pogadać latwiej: mądrej głowie dość na słowie. Co tam nasza polska szlachta, dzisiejszego dnia, z tą niema co robić, nieprawdaż?

Majstrowa z pod pieca baczne nadstawiła ucho.

— Nie umieję czleka szanować . . . . .

— Co to, to prawda — przytaknęła nauczycielowa.

— Niemasz to jak pan niemiecki, wiem ja to najlepiej. Tam ład i porządek, mospanie.

— Ład być może i porządek . . . . ale wszelako... — jąkał się Murawka.

— Pan Kopfmann to mi człowiek.

— Tylko że z tych gospodarstw które powyku — pywał nie mamy i grosza jednego: wszystko idzie na niemiecką szkołę — wtrąciła pani Wincentowa.

— Bo takie jest prawo, jejmościulku. Takie jest prawo. Ale toby się dało naprawić. Pan Kopfmann będzie panu Murawce wszystko opłacał, ale nie per muss, nie per muss, rozumiecie państwo? A jeszcze da państwu pare zagonów na perki, bo on lubi pana Murawkę, widzi Bóg, że prawda. I co tam dla niego pare zagonów dzisiejszego dnia, to frachy!

— Niechby tylko opłacał co się należy, bo człowiek i tak za liche wynagrodzenie mitrężyć się musi.

— I jak jeszcze! — pochwyciła pani Wincentowa — potrzeba męczyć się z chłopstwem, i ta organistka, ta organistka! Jak mamę kocham, kością stoi mi w gardle. Spazmów kiedy dostanę.

— Przecież to ku chwale Bożej, mój Jezu jedyny! — ozwała się majstrowa, pokiwując głową.

— Ku chwale Bożej! Ależ to przecie dla ludzi. Ludzie widzą i słyszą — odrzuciła młoda kobieta kwaśno.

— I dochód państwo z tego macie, że tam pan Wincenty troche na organach zagra i zaśpiewa.

— Jaki mi dochód! A honoru niemasz.

— Panie Wincenty, powiem panu rzecz jednę — zaczął Werda, odchrząknął, i jakoś dziwnie oczami strzelił. — Staraj-no się pan o łaskę pana Kopfmanna, to wam ciepło będzie. Bogaty to człowiek i bardzo uczciwy. W Berlinie ma na zawołanie tyle pieniędzy ile zechce: kredyt zawsze otwarty. Pan ma rozum, panie Murawka, pan to zaraz od razu obejmiesz. Nastają teraz obory na deputowanego do Berlina, rób pan starunek, aby pan Kopfmann najwięcej miał głosów. Pan ma rozum, umie do chłopów przemówić i wyłożyć im wszystko potrafi. Rozkład będzie taki, że z tutajszéj gminy będą musieli o mil kilka pojechać, to i nie każdemu się zachce. Panu Wincentemu, bo pan Kopfmann sowicie drogę wynagrodzi. Pan i w miasteczku ma krewnych i przyjacioł, to i tam podołasz coś wskórać. Pan Kopfmann wywdzięczy się za to, i wszystkim lepiej będzie.

— A przecież lepiej-by było, gdyby Polaka obrali.

— Dla kogo lepiej? — wrzasnęła pani Wincentowa

dla szlachty polskiej może, ale dla nikogo więcéj. Co na tém zyskają obywatele miejscy? A chłop to i wcale swojego nie rozumie interessu.

— Pani gada gdyby z książki drukowanéj, prawdziwie prawda! Oj, co to jest rozum kobiecy! Pani to od razu objęłaś. Szlachta, bo chciałaby tam jakiegoś przyjaciela młodego Dolewskiego wysłać, i pewnieby jego samego obrali, gdyby tylko miał lat trzydzieści.

— Szkoda, że ich nie ma! — rozśmiała się młoda kobieta szyderczo.

— A więc też kogo innego stręczy, jakiegoś przyjaciela, który ma być bardzo mądry i obrotny. Był u niego przez cały tydzień w Gruszczynie, i zjeżdżali się i sejmikowali niby za dawnych czasów. A był też i pomiędzy nimi nauczyciel z Zabrzezia.

— Wojczyk.

— A dyć Wojczyk, który sobie wyleci, jak Bóg Bogiem, z tego nauczycielstwa, bo swojego radzi się rozumu, a ten nie poradzi mu dobrze. — Oj wszystko wiem co się dzieje w Gruszczynie! — zawołał coraz bardziej rozochocony, dmuchnął na trzecią szklankę gorącego napoju i duży haust połknął. — Wszystko wiem co się tam dzieje — powtórzył raz drugi, a majstrowa uważniej jeszcze słuchała. — Młody

Dolewski, to zwłaszcza, dzisiejszego dnia, wszystkie porusza sprężyny, aby jeno tamtego obrali.

— Młokos, ćmuk, chodzi jak gdyby szukał tego, czego nie zgubił — rozśmiała się z własnego dowcipu pani Wincentowa.

— Zmartwiony śmiercią ojca — wtrącił Murawka.

— To i co? Wszyscy umierać musimy, panie Wincenty — odparł zausznik Kopfmanna. — Ale co ja więcej państwu powiem — i uśmiechnął się złowrogo — to, że i Dolewszczyk wyleci sobie szczęśliwie z Gruszczyna.

— Jakto? — zawołał Murawka.

— Kuso z nim będzie, nie utrzyma się. Gospodaruje on tam, skąpi sobie, gnaruje, ale za lat pare to wszelako pan Kopfmann i Gruszczyn zagarnie, bo mu tak jakoś składnie do Golędzina przytyka, a Golędzin to już, jak gdyby był jego. Ho ho! a jeno pan Kopfmann go obejmie, to państwu będzie jak w raju. Zarazby oddał panu Murawce administracyą lasów. Pan umie expedite po niemiecku i zna się na leśnictwie, jak sam mówił.

— Ale szkoda młodego Dolewskiego! — przemówił Murawka, pokręcając głową.

— Nie on pierwszy i nie ostatni. Znać już tak ma być.

— W zeszłą niedzielę wybrałam się na odpust do Gruszczyna, spotkał mnie ma smętarzu a nie ukłonił się, chociaż mnie zna dobrze — zawołała znowu pani domu i jakoś dumnie wyrzuciła głową. — To mi się podoba.

— Nie poznał cię, Franulku.

— Co nie miał poznać? Szlachecka fuma zwyczajnie.

— Tak, tak, ma pani racyą, wielką racyą — pochwycił znowu kusiciel. — Już to oni wszyscy tacy. No, panie Murawka, zrób pan jak mówię, wszakżeż żona objęła interes od razu. Daj swój głos, usposób chłopów okolicznych i zrób w miasteczku co potrafisz. Ręka rękę myje.

Murawka niby coś chciał mówić, już usta otwierał, znowu zamknął, znowu otworzył, — gdy w tem matka jego nagle powstała, na środek wybiegła i załamując ręce, zawołała:

— Wicusiu, Wicusiu! A bójże się pana Boga! Bój-że się matki najświętszej, tej królowej naszej! A to zaś co? Słyszanеż to rzeczy, żeby ciebie do zdrady namawiać smiano? O święta Jadwigo, patronko moja, czegożem ja doczekała! Cóżem ja dzisia usłyszeć musiała! — i łzy załały jéj oczy. — A czyliżeś to nie uczciwe dziecko Jędrzeja Murawki, którego wszyscy

okolicznie szanowali, bo rzetelnym był, poczciwym i pracowitym? I kiedy to miasteczko zgorzało i dom nasz poszedł, i skóry popaliły się na składzie, to panowie i zaraz przyszli nam w pomoc, a najpierwszym był nieboszczyk pułkownik, bo umieliśmy sobie na dobre zachowanie zasłużyć. A kiedy potrzebowałeś endukacyi, to i któż ci dał na nią? Komużeś winien to, czegożeś się nauczył? Czy to nie pan pułkownik — Panie daj mu niebo! — i pan Kłosowski mieli o tobie starunek a potém umieścili ciebie na pomocy naukowéj. A czy to nie panowie polscy pomoc naukową zrobili? — Czy to nie od pana Tadeusza miewałeś surduciki i kamizelki, kiedym ciebie do szkół wysłała? I czy to nie przez pana pułkownika otrzymałeś to tutaj miejsce? O mój Boże, mój Boże, czegóżem ja dzisiaj doczekać musiała! — A nie pamiętasz co ksiądz proboszcz Zarzecki uroczyście na pogrzebie nieboszczyka powiedział: »aby za dobro zmarłego, dobrem synowi jego odpłacić.« — Pomazaniec Boży wyrzekł te święte słowa w obec ciała nieboszczyka dobrodzieja naszego, w obec tyla ludu. Pan Bóg słyszał je w niebie a ludzie na ziemi. — I ty masz teraz zdradzać sierocego syna? I zdradzać masz swoich, gdyby Judasz drugi? Pójdę chyba gdzie mnie oczy poniosą, abym nie widziała sromoty

twojej i grzechu. Boże mój jedyny! Matko najświętsza! — załamała ręce i szlochając, przycisnęła je do oczów.

Pani Wincentowa skrzywiła się szyderczo; ale Wincenty skruszony przyskoczył do matki, ujął jéj rękę i zmiękczonym zawołał głosem:

— Niech się już mamulka nie martwi: nie zdradzę przecież nikogo! Nie dam się użyć do żadnej podłości, przysięgam to matce na popioły poczciwego ojca!

— Mój chłopcze, kochany chłopcze! Bóg tobie za to słowo pobłogosławi. Odpowiedz-że zaraz ze skretessem panu Werdzie, żeś ty nie żadna czarna dusza, i niech ciebie więcéj nie kusi.

— Panie Werdo, matka ma racyą, niepowinieneś mi był takiéj robić propozycyi — zwrócił się nauczyciel, z mocnym na licu rumieńcem, do swojego gościa. — Słuchałem tylko cierpliwie by dowiedzieć się dokładniéj, jak to chcesz zażyć mnie z mańki. Panie Werdo, ja do żadnéj nie przystąpię podłości.

— Niech nam pan Werda święty do pokoj — zwróciła się poczciwa majstrowa także do kusiciela — niechaj nie nachodzi mojego syna. Niechaj sobie pan Werda Podolaków przypomni i gorsze jeszcze sprawki.

Werda nieczekając już dłużéj, pochwycił za czapkę, kiwnął gospodarstwu i czmychnął. Na wsi spotkał

kowala z Gruszczyna który, na widok jego, odwrócił się i splunął.

— Istne skaranie Boże! — ciągnęła dalej majstrowa. — Czy to się godziło takiego urwisza do domu przyjmować i zasiadać z nim, i częstować go i przyjaźnie zawierać? U nas tego nie bywało, co nie, to nie. I twojemu też ojcu niktby takiej propożycyi nie był zrobił: oberwałby od razu i wyleciał za drzwi gdyby zgniłe jabłko. Gdzie to poszanowanie albo co? — Tego wszystkiego narobiły zbytki, raz prawdę powiedzieć muszę: zbytki! zbytki! — wołała, uderzając pięść pięścią. — Zbytki sprowadziły niebłogosławieństwo Boże — i spojrzała się z ukosa na zadąsaną synowę. — Kiedym była młodą dziewczyna, miałam jednę odświętną sukienkę sycową, a drugą białą od wielkich uroczystości. Brałam ją na Boże-ciało, bom obraz święty nosiła, na odpusty, i jedyny raz jeden miałam ją na ochocie w kuśnierskiej gospodzie. Chociaż to rodzice dwa domostwa posiadali i rzemiosło było intratne. Ale to moja cała była parada. Poszłam za mąż i przybyła mi jedna sukienczyna i merynosowy tołubek, to mi przez lat kilka starczyło, i ani na myśl przyszło, by co sprawić nowego — i znowu z boku na synową spojrzała. — W izdebce miałam dwa stoły dębowe, gładziuchne, czyściuchne do

przejrzenia, pare krzesełek powleczonych ´sycem, komódkę bejcowaną, szafę taką samą, i nic więcej, jeno sprzęty potrzebne: szafarnią, skrzynki i zydle. I było nam z tém dobrze i ludzie nas szanowali i mieliśmy chleb.

Pani nauczycielowa, czując zapewne częste spojrzenia matki, z zaciśniętemi ustami ciągle w okno patrzała.

— Pracowałam-ci téż i tobie, kiedyś mnie wziął do siebie, i pewno do żadnéj nie leniłam się roboty — mówiła majstrowa daléj. — Miałeś też wszystko w domu, jak tego była potrzeba. Była i marchewka dobra, i brukiewka, i rzepka, i pasternak, a teraz to wszystko chwast zagłuszył. Wyrywałam zielsko jak mogłam, aleć to nie na moje było podołanie: nikt nie pomógł, nikt o to nie dbał, chociaż nie sto razy gadałam, i wszystko zniszczało. Krowę zaprażyli, kiedym oj chorowała, że mleka nie daje i kropli. Miewałeś koszule ze swojego przędziwa, dziś i tego nie staje....

— Zapomina się mama! — wrzasnęła pani Wincentowa i podniosła się dumnie. — Dosyć już tego kazania!

— Zapomniałam się, to prawda, żem takiego kazania dawno nie powiedziała — odrzekła majstrowa spokojnie. — Żem tak długo była cierpliwą.

— I ty słuchasz, Wicusiu, i pozwalasz mnie krzywdzić? — zaszlochała młoda kobieta.

— Cicho, cicho, moja Franulko, matka nie chce ci ubliżyć — łagodził zakłopotany Murawka.

— Zapewne że nie chcę ubliżyc, i tylko napominam jako matka. . . .

— Nie potrzebuję takiego napominania! Mnie wychowano inaczéj, nie ordynarynie. Dano mi edukacyą i delikatne maniery, więc takiego grubiaństwa znieść nie mogę i spazmów dostaję. O mój Boże, mój Boże, czemużem się w taki dom dostała!

W drugim pokoju przebudzona dziecina kwilić zaczęła.

Pani Wincentowa szybko tam wbiegła — znać ją uczucie matki pociągnęło, uczucie najsilniejsze na ziemi. — Ale nie! wróciła zaraz znowu, okryta piaskową zarzutką, naśladającą burnus dziedziczki, z kapeluszem na głowie, u którego szafirowa powiewała zasłona, i obejrzawszy się na matkę przy piecu płaczącą, ostrokolczastym rzuciła jéj głosem:

— Ustępuję! — i z domu wybiegła.

Dziecię w sypialni na głos zapłakało, jak gdyby instynktowo swoję smutną było przeczuwało dolę.

Murawka za żoną pogonił — i poszli do proboszcza.

Potém wrócił po matkę, by zwaśnione z sobą pogodzić kobiety. I poczciwa matka dla miłości syna, pierwszy krok do zgody zrobiła: wzięła wnuczątko na rękę, otuliła je starannie tołubkim swoim, i udała się z synem na probostwo.

9.

A jego pracom któż uczynił zadość?
Własne sumienie. —
Syrokomla.

Głucho, smutno, pusto było w Gruszczynie. Tadeusz nie wyjeżdzał nigdzie, jak gdyby go boleść poniesionéj straty i droga pamiątka ojca tém silniéj do osamotnionego wiązały domu.

W papierach pułkownika znaleziono przekaz: by raz na zawsze dominium Gruszczyna, rokrocznie po dwadzieścia talarów na pomoc naukową składało, i syn prawy zacnego ojca pospieszył świętą jego wypełnić wolę.

Zmarły pozostawił i list do pana Kłosowskiego w serdecznych zawarty wyrazach, w którym przyjaźni jego tyloletniéj ukochanego polecił syna. I szanowny człowiek sumiennie wywiązywał się z tego wezwania, śmiercią uświęconego, tém szczerzéj, tém

skwapliwiéj, że go do szlachetnego młodziana i prawe wiązało serce. Odwiedział go często i łącznie z proboszczem pracowali nad tém, by żałobne usposobienie jego rozjaśnić. Zaglądali i drudzy sąsiedzi dość często do smutnego dworu, Tadeusz witał ich z wdzięcznością — ale potém, zdawało się, że tém chętniéj znowu sam jeden w pustych ujrzał się pokojach.

Z największém zamiłowaniem i gorliwością oddał się gospodarce swojéj, jak gdyby w tém zajęciu, w tém ukochani u ojcowskiéj roli najwyżéj potrafił uszanować świętą wolę zgasłego i cześć oddać jego pamięci. W ciągłéj pracy około drogiéj ojcowizny znajdował najmilszą pociechę — bo wszakżeż praca, skrzętna, nieprzerwana praca i spełnienie obowiązków społecznych w obec Boga i bliźnich, główną podstawę bytu naszego stanowią i jedynieli do możebnego na ziemi szczęścia prowadzą.

W chwilach wolnych czytywał książki poważnéj treści — i szukał i znajdywał religijną pociechę w częstych rozmowach z sędziwym księdzem Zarzeckim. A wieczorem nieraz, gdy w koło zmrok wszystkie przysłonił przedmioty, przesuwała się wysoka czarna postać poza sadem dworskim i znikała przy murze smętarnym.

W pare miesięcy po śmierci pułkownika znaczył

grób jego krzyż piękny, wysoki, z czarnego marmuru; otaczała go krata z lanego żelaza a wieńczyły krzewy i kwiaty — nie eksotyczne, nie obce, lecz swojskie: róże, bzy, jałowiec, bluszcz i barwnik. I gdy szeroko rozwarte świętego znaku ramiona ciemno na jasnym tle nieba odbite, smętne spojrzenie Tadeusza spotkały, zdawało się synowi, że to objęcie ukochanego ojca tuli go do siebie i do silniejszej wzywa wiary, wytrwałości i poświęcenia.

W zadumach młodziana majaczyła wprawdzie zawsze i wdzięczna, urocza postać, której słoneczne spojrzenie rozwidniało mu drogę żywota — ale miałżeż i mógłżeż jéj teraz szukać?

Wybór deputowanego na sejm berliński znacznie jednostajność życia Tadeusza ożywił: bo przedewszystkiem miał na celu obowiązki obywatela. Gorliwy o dobro kraju przemówił do współobywateli za znajomym, szanownym i cenionym powszechnie, tak pod względem rozumu, jako i serca prawdziwie polskiego, nieugiętego charakteru i silnéj woli. Przyjaciel ten nadto już niejednokrotnie w sprawach występował publicznych, znał doskonale położenie rzeczy, różne prywaty, i liczył dobrych znajomych z lat dawniejszych pomiędzy deputowanymi niemieckiemi innych dalszych prowincyji, składających monarchiją pruską.

Obywatele posłuchali głosu zacnego i rozumnego młodziana, i Tadeusz wezwał przyjaciela, by do niego dla bliższego porozumienia się zjechał. Za przybyciem jego odbywały się w Gruszczynie narady, mające dobro prowincyi na celu. Nie czyniono z tego żadnych tajemnic, bo ku temu potrzeby nie było, ale byłby się Dolewski zapewne niemało zdziwił, posłyszawszy, że Werda o tych działaniach tak dobrze był zawiadomionym. Nie głaskano także nikogo, nie pochlebiano, nie przekupywano nikogo, ażeby wiadomość o zamiarze obywateli była mogła na tej dojść drodze ludzi takich, jak Karol Werda.

Gdzie tylko wpływ obcy usiłuje miejscowe żywioły ku swojéj wyłącznéj użyć korzyści, wszędzie demoralizacya w jego idzie szlaki.

Miłości bliźniego, braterstwa, poczucia obowiązków i powinności, patryarchalnego sprawiedliwości poczucia w każdém ogniwie, w każdym zakresie, łagodzenia kolców i szorstkości, drażniących koła społeczne, dobréj woli i szczeréj wiary, a będzie z nami Bóg dobroci i miłosierdzia! —

Tadeusz młodą, wrzącą, polską pojmował to duszą, wyniańczoną przykładem, nauką i zasadami ojca.

A pan Kłosowski, który wszędzie z młodym przy-

jacielem szedł w parze, opierał to przekonanie na dawniejszych doświadczeniach, na przebytych twardych kolejach.

Gdyby Tadeusz Dolewski był potrzebną lat ilość liczył, jakżeż chętnie byliby go współobywatele swojem votum zupełnego zaufania zaszczycili.

10.

Toć niepodobieństwo
Tajemnic serca opisać słowami.
Hagbart i Sygna
dramat Oehlenschlaegera przekł. Juljana Bortoszewicza.

Młodsze dziewczynki pani Sielskiej wesoło po ogrodzie skakały, ciesząc się dniem ciepłym, słonecznym, jakim nas często październik obdarza. Zofija szła zwolna kasztanową ulicą, z oczami zwróconemi na książkę, którą w ręku trzymała a w której nie czytała wcale — o czém z całą prawdziwością zapewnić możemy. Panienka, ot, chciała sobie podumać, pomarzyć, a przeszkadzała temu gadatliwa Fzancuska, goniąca za nią, — więc udawała, że czyta, i panna Lacaille do swoich powróciła uczennic. Niezadługo też zupełna w koło nastąpiła cisza, bo guwernantka zabrała dziewczynki na poobjednią lekcyą, i wtedy to Zofija zamknęła książkę i oczy jéj niby pomimowolnie zwróciły się w stronę, gdzie pomiędzy klom-

bami, szarowo-zielonawe było widać pole, a wśród tego pola wiła się niby wstęga płowa droga ponad brzeziną, ozłocona barwą jesieni. Dokądże wiodła ta drożyna? — Odgadnie pewnie niejedno serce dziewicze.

Nieraz to ku tej drodze Zofija śliczne modre zwracała oczęta, może i dla tego: że pod brzeziną stał domek gajowego, że od domku zielona snuła się łąka, po której malowniczo wartki płynął strumyk, dostarczający młynowi przy końcu wioski potrzebnej wody. To wszystko razem ładny, sielski tworzyło obrazek — a panna Zofija lubiła takie chwytać widoki, lubiła rysować, i niejeden zręcznie pochwycony i ślicznie wykonany krajobraz z pod jej zgrabnej wysunął się rączki. Z tem wszystkiem dziwiła się niekiedy, że pan Tadeusz Dolewski zupełnie odwiedzin swoich zaprzestał — ależ to tak tylko sobie zapewne, bez żadnej innej myśli. — W pierwszych czasach po śmierci pułkownika, sercem czującem, prawdziwie niewieściem, pojmując boleść jego, zrozumiała, że nigdzie bywać nie będzie; lecz gdy kwartał upłynął, zaczęła się spodziewać, że lada dzień gniade koniki przede dworem zarzą. Tymczasem ubieżał znowu jeden miesiąc, i drugi — a na drożynie ponad brzeziną owych ładnych gniadoszów widać nie było — i wioskowy

obrazek, jakkolwiek ładny zawsze, pozostawał niczém nieożywiony.

Slicznie wyglądała młoda dziewczyna: dodawał jéj nieokreślonego uroka wyraz rzewny milutkich rysów, myśl głębsza, dojrzalsza niby, lekko jasne przymgliła czoło, a piękne modre oczy tak lubo-tęsknie patrzały, że każde serce łatwo pociągnęły ku sobie — rozumie się serce, które nietylko do obiegu krwi przydatném było. Miała na sobie suknie wełniane, jasno szafirowego koloru, zwanego myosotis; kaftanek zręcznie wysmukłą znaczący kibić, bramowało ciemne futerko, na głowę zarzuciła czarną koronkową chusteczkę zawiązaną en marmotte — i dziwnie do twarzy było jéj w tém ubraniu.

Zadumana, rozmarzona, poetyzująca sobie w młodéj duszy ten świat tak powabny, tęczowy, uroczy; tonąca myślą dziewicy-Polki, w pięknéj dziejowéj przeszłości naszéj, tyle wzniosłych, wielkich dostarczającéj przedmiotów — bo takie rozmyślania zawsze najmilszemi jéj były; snująca nić złotą, młodą, na którą nanizała wieńce z bluszczu, róż i wawrzynów, — Zofija całkiem odbiegła ziemię, i po wyśnionym, cudnym, stref podniebnych bujała błoniu. To więc nic dziwnego, że nie dosłyszała, jak zaturkotało na dziedzińcu i jak następnie suche

poza nią na chodniku szeleściły liście, hyżą poruszone stopą.

— A, jak męża kocham, żem ciebie ledwie dopędziła! — zadźwięko nagle nad jej uchem.

Zofija odwróciła się zarumieniona, i ze szczerą radością uścisnęła panią Kłosowską, zadyszaną i dobrotliwie do niej uśmiechnętą. — Jakżeż mi panna zamyślona zadumana, biegła naprzód i naprzód, żeś mnie i nie posłyszała wcale! —

— Czytałam, a potem myślałam nad tem, com przeczytała. Ale jakżeż mi się kochana pani miewa? — i panienka raz wtory miłą uścisnęła sąsiadkę.

— Co tam, duszko, jak ja się miewam? Widzisz przecie, że dobrze i żem nie przychudła wcale od przeszłej niedzieli. Powiem ci też od razu, że i Dysio zdrów i Micia, i Niunia i Lucio. A teraz, kochanie, korzystajmy z czasu, bo mam do mówienia z tobą. Mój Stasio rozprawia tam z mamą twoją, a ja wybiegłam, by z tobą sam-na-sam pogadać.

— Słucham, kochana pani.

— Powiedz-że mi, dziecko, wszakżeż tu bywa Salezy Piaszczewski?

— Był pare razy.

— I to rozumie się, jako konkurent?

— Tak mówią.

— A cóż ty na to?

— Nic — uśmiechnęła się panna.

— A mama?

— Mama! mama . . . . — i spochmurzało jasne czoło dziewczęcia.

— Mama, możeby ciebie i chętnie za niego wydała, nieprawdaż?

— Być może — i Zofija spuściła główkę i lica jej nagle przybladły.

— Cóżbyś na to mamie odpowiedziała?

— Upadłabym jej do nóg — odrzekła młoda dziewczyna silnie wzruszona — płakałabym i błagała, by odemnie tak niepodobnéj nie wymagała rzeczy.

— A mama . . . .? .

— Myślę, iżby mnie wysłuchała.

— I ja tak sądzę. Czy pan Salezy już co o swoich napomknął zamiarach?

— Ani słówka. Tylko pan Sutkiewicz pare za niego komplimentów powiedział — zaśmiała się Zofija.

— Bo on za nadto ostrożny! — zawołała wesoło pani Kłosowska. — Lęka się arbuza i w ogóle nic nie ryzykuje nigdy. Lecz dajmy jemu święty pokój! Nie o nim miałam mówić, i szkoda czasu i atłasu. Chciałam tylko wybadać co ty o nim myślisz.

— Mówią, że to prawy jest człowiek.

— Zyje dla siebie, sobie najlepiéj życzy, a pewnie dotąd i nikomu nic złego nie zrobił. Bogaty, to już i wielki posiada warunek, by na dobrą opiniją publiczną zasłużyć.

— Jesteś kochana pani troszkę złośliwą.

— Ale nie powiedziałam-że prawdy? Zresztą on i czułe ma serce, bo sam siebie kocha nad miarę.

Rozśmiały się obiedwie.

— Ale, słuchaj dziecko, zaczęła pani Kłosowska poważniéj, wzięła Zofiją pod rękę i znowu pod kasztany skręciły. — Co też myślisz o Tadeuszu Dolewskim? — i zajrzała jéj w oczy.

Lica Zofji barwa zorzy skrasiła, spuściła wzrok ku ziemi i niby jéj tchu zabrakło. Pani Kłosowska uśmiechnęła się figlarnie.

— Szanuję go . . . . cenię . . . . zacny . . . . poczciwy . . . przyjemny . . . — jąkała się panienka.

— No, no, już wiem dosyć! — i pani Kłosowska ust przygryzła, by radosnym nie wybuchnąć wyrazem. — Biedak, bo ciągle smutny, przybity; rozrywamy go jak możemy, ale go trudno z domu wyciągnąć. Przysposobienia do oborów rozruszały go teraz znacznie, i mąż mój o nim wypowiedzieć się nie może, co to za szlachetna, prawdziwie piękna jest dusza. Słyszałam to i z ust drugich obywateli. Musimy go koniecznie

rozerwać, by nie stetryczał, biedaczysko. Zmienił się, pobladł trochę, ale mu z tem bardzo do twarzy, spoważniał i wyszlachetniał. Poczciwy chłopiec! — Cóż ty na to Zosinku?

— Żałuję go z całego serca i pojmuję to jego smutne usposobienie.

— Żałujesz go z całego serca. Kochane dziecko! — To i cóż powiesz na to, gdy go do Zabrzezia przywieziemy, by się rozerwał?

— Owszem . . . .

— Bo jemu w Zabrzeziu najmilej, Zosinku — i poczciwa Tadeusza opiekunka znowu pannie w oczy zajrzała. — Czy ty wiesz o tem, że jemu tutaj najlepiej?

Zofija uśmiechnęła się.

— Zosiu! Zosinku! to zacny człowiek, ty z jego sercem nie poigrasz, wszak prawda?

— To byłoby niecnie, niegodnie! — poszepnęła młoda dziewczyna, rzuciła się w objęcie przyjaznej sobie kobiety i zapłakała.

— Cyt, dziecko! cyt, Zosinko! — Wszystko będzie dobrze. Chodźmy tą tutaj ulicą, ażebyś ochłodła, a potem do pokoju pójdziemy. Myślę, że tam Stasio tymczasem mamie twojej powiedział, co miał powiedzieć.

Pani Kłosowka kobiecą domyślnością oddawna skryte uczucia młodych odgadła, i przez przyjaźń dla obojga i wrodzoną sobie życzliwość, stała się gorliwą ich protektorką. Lękała się, by pan Salezy nie odniósł przypadkowo pierwszeństwa, — więc potrzeba było pospieszyć: wybadać pannę, usposobić dla Tadeusza przychylnie matkę i skłonić kochanego samotnika do odwiedzin zabrzeskiego dworu. Pani Kłosowska myśl tę w jednej pochwyciła chwili a wykonała już w drugiej. Przełożyła mężowi rzecz całą, który jej wielce powolnego udzielił ucha; wsiedli do powozu i ruszyli do Zabrzezia.

Pan Kłosowki po wyjściu żony do ogrodu, zaczął o nastąpić mających prawić oborach. Wspomniał o zamiarach obywateli — bo pani Sielska w tem wszystkiem zwykle wielki brata udział; mówił szeroko o zacnych Tadeusza zabiegach i podniósł go co się nazywa. Bardzo zręcznie i na pozor całkiem nieumyślnie, zwrócił tę niby gawędę do osobistych interesów młodego Dolewskiego; rozwodził się nad jego gospodarstwem wzorowem, dobrym rządem, pilnością, pracą i akuratnością.

— Wierzę bardzo — odrzekła sucho matka Zofji — ale on się jednakże przy Gruszczynie nie utrzyma.

— Któż to pani powiedział?

— Sutkiewicz, gdy był tutaj z panem Salezym.

Aa! pomyślał sobie przyjaciel Tadeusza i już był w domu; ale jako człowiek rozumny i dość zręczny, pomijając stronę drażliwą, odrzekł tylko:

— Na czemżeż pan Sutkiewicz to swoje twierdzenie opiera?

— Wie, że są długi, które koniecznie spłacić potrzeba.

— Te długi — wstrącił żywo Kłosowski — zaciągnął pułkownik w ciężkich chwilach, przez które księstwo przechodziło, jak to pani dobrodziejce wiadomo.

— Znam, wiem . . . ale to sprowadzi subhastę Gruszczyna.

— Nie sprowadzi! Klnę się Bogiem, że nie sprowadzi subhasty! Wypłacę Tadeuszowi ośm tysięcy talarów, które są u mnie zahypotekowane jeszcze z posagu jego matki, i wszystkie interesa załatwi.

— To co innego — pani Sielska nagle naprężony wyraz twarzy na przyjemniejszy zmieniła, lecz i zaraz znowu dodała:

— Oby tylko i Gruszczyn nie dostał się z czasem Kopfmanowi.

— A to zkąd, pani dobrodziejko? — Niechże ręka Boża broni!

— Bo Kopfmann z pewnością zabierze Golędzin, a Gruszczyn zaokrągliłby mu piękną majętność.

— Chybaby się ze wszystkimi sprzągł szatanami! — wybuchnął przyjaciel Tadeusza, i przeżegnał się, jakby na odpędzenie złego.

— Tak ludzie gadają — odrzekła pani Sielska sucho.

— Pan Sutkiewicz pewnie — pomruknął Kłosowski, lecz niebawem swoje stłumił wzburzenie, by jakim niepotrzebnym wybuchem młodemu nie zaszkodzić przyjacielowi; przeszedł się po pokoju, potem przysunął bliżej kresło, usiadł — i jasno, węzłowato a dosadnie, wyłożył stan cały interesów Tadeusza. Gadał długo, przejął się całą duszą tem co mówił, i zdołał w końcu wcale przychylnie usposobić Zofji matkę.

— Tak pani dobrodziejko, tak jest, wypowiedziałem jasną a świętą prawdę — dodał, pocierając czoło, bo aż mu zrobiło się gorąco.

— A, skoro tak jest, to chwała Bogu. Szanowałam wielce pułkownika a cenię pana Tadeusza i jak najlepiej mu życzę — odrzekła nieco miększym głosem.

— Pani dobrodziejka pozwoli, że go tu kiedy przywiozę: biedak znękany śmiercią ojca, nigdzie dotąd ani wyjrzał.

— Owszem, dla czegóżby nie!

Pan Kłosowski wolniej odetchnął, jak gdyby mu centnar był opadł z piersi.

— Zasiedział się w domu, pracuje, sam dozira wszystkiego.

— Słyszałam, wiem. Bardzo dobrze robi.

— Ależ go potrzeba rozruszać, ażeby nie zmelancholizował.

— Zapewne.

— To i najpierw przywiozę go do pani.

— Owszem, owszem.

Pani Kłosowska z Zofią weszły do pokoju. Małżeństwo wesołem, porozumiało się wejrzeniem.

We dworze gruszczyńskim, w pokoju ś. p. pułkownika, jasno paliła się lampa. I znowu spotykamy rozjaśnione w jej blasku rysy wsławionych bohatyrów naszych. A czyliż ku nim nie zawsze z rzewną chlubą zwracają się oczy?

Tadeusz najwięcej w tym lubił przebywać pokoju: był on świątynią najdroższych dla niego pamiątek. Siedział i teraz przy stoliku i czytał — czytał, Konferencye Lecordaire'a: od śmierci ojca miał szczególny do pism podobnych pociąg a konferencye religijną niosły mu pociechę. Dawniejszą dzie-

cięcą niemal swobodę, upiękniającą jego wysokie czoło, cienił obecnie wyraz powagi i myślenia, z którym mu wszelako — mówiąc z panią Kłosowską — wielce do twarzy było: wyszlachetniał — nabrał więcej męskości — i więcej jeszcze stał się podobnym do dawnych naszych rycerskich postaci.

Spokój wiejskiego wieczoru zaległ w około i tylko niekiedy po-za oknem lekki powiew jesienny suchym zaszeleścił liściem.

Zatopiony w głębokich myślach wielkiego mówcy, Tadeusz nie zważał na turkot kół przededworem — tak samo, jak przed pare godzinami panna Zofija, błądąca po wyżynach idealnych snów swoich.

Jasio w zielonej kurtce wbiegł do pokoju.

— Proszę pana, przyjechali państwo Kłosowscy.

— Państwo Kłosowscy? — powtórzył nieco zdziwiony i szybko porwał się ku drzwiom, w których już wchodzących spotkał gości.

— Dobry wieczór — uśmiechnęła się poczciwa sąsiadka, objedwie pulchne podając mu rączki. — Nie odwiedzasz mnie, panie Tadeuszu, to więc ja oddaję ci wizytę, by niegrzecznego kawalera zawstydzić.

— Dobra, kochana, szanowna pani — wymówił Tadeusz i raz drugi podane sobie ucałował rączki.

— A co to ona tam jeszcze lepszego ma dla ciebie

w zapasie! — zawołał wesoło pan Kłosowski, zlekka trącając go w ramię.

— Cóż takiego? — zapytał młodzian z rzewnym uśmiechem.

— Siadaj, panie Tadeuszu, tutaj, przy mnie — i pani Kłosowska przyciągnęła go do siebie na kanapę. — Słuchaj, bo mi pilno wypowiedzieć wszystko — i powtórzyła mu całą swoję z Zofiją rozmowę.

Tadeusz słuchał z podniesionym na licu rumieńcem, i niby mu zawilgotniało piękne, pełne, wielkie oko, tak szczérym zawsze mówiące wyrazem.

— Nie mam słów na podziękowanie — wyrzekł gdy skończyła — ale niech Bóg dobry pani zapłaci.

— To i najlepszą będę miała nagrodę! — A teraz Stasio, powiedz swoję z panią Sielską rozmowę.

Pan Kłosowski poszedł za przykładem żony i do reszty pocieszył Tadeusza i dodał mu odwagi.

— Gdy przyjdzie do deklaracyi — zaczęła teraz znowu szanowna swatka — w kwietniu, w maju, w czerwcu, czyli jak tam wypadnie, po uregulowaniu interesów, bo mama wielce na to będzie zważała — pannie, bo możesz wcześniéj swoje deklarować afekta — dodała śmiejąc się z dobrocią — ale gdy przyjdzie przed mamą z wielką, ceremonialną wystąpić

deklaracyą, i to ze wszelkiemi wszelakościami, — poprosisz o to hrabinę w Iłżycach.

— Dla czegóż by trudzić szanowną panią? zapytał Tadeusz.

— To jest koniecznie potrzebne, jak kocham Dysia, Micię, Niunię i Lucia. Pani Sielskiej to pochlebi, bo całej konkurencyi nada pewną barwę arystokratyczną, jakąś wyższą, ważniejszą cechę.

Tadeusz głową pokręcił.

— Hrabina wielce zawsze twojego ojca poważała, żyliście z jej domem w przyjaznych stosunkach, ciebie, panie Tadeuszu, ceni prawdziwie, — to więc i bardzo chętnie tę dla ciebie spełni przysługę. Włoży suknią aksamitną, okryje się kaszmirem i wielka paradna kareta zaturkoce przededworem Zabrzezia. Kochana pani Sielska zarumieni się i wyprostowana wystąpi na powitanie arcy-szanownego gościa. Nastąpi ceremonialne oświadczenie, zostanie przyjętem, i kochany Tadzio zamieni piersionki z Zosinką.

— Ślicznie, pięknie! Błogosławioną będzie ta chwila! Ale jakoś mi na sumieniu, że szanowną matronę takim obarczyć mam trudem.

— Chętnie to uczyni. Tak być musi i basta! Będzie to zupełnie podług dawnego zwyczaju — zakończyła pani Kłosowska stanowczo.

W pare dni potém, jesienne niebo spochmurzało nieco, ale po chodnikach zabrzeskiego ogrodu przesuwała się znowu wdzięczna, wysmukła postać w szafirowéj sukni. W tém ładny wioskowy obrazek nagle ożywiony został, pędzącemi od brzeziny konikami gniademi, które lekki po-za sobą ciągnęły pojeździk. Wdzięczna postać przystanęła i młode lica żywy odcień różany przykrasił.

Niezadługo rącze gniadosze przededworem zarzały, a gdy pan Kłosowski z Tadeuszem do pokoju weszli, zastali w nim panią domu i pannę Zofiją pilnie robotą zajętą, jak gdyby wcale nie była wiedziała, kto tam drożyną od brzeziny ku Zabrzeziu pospieszał.

11.

Wybory do izby drugiej odbyły się i wypadły bardzo niepomyślnie, raz z powodu niekorzystnego podziału miejscowości, powtóre z winy pewnéj liczby wyborców polskich, którzy nie odnosząc się do nikogo, nie pytając co powiedzą osoby na których ciąży niejako odpowiedzialność postanowień politycznych, bardziej zewnętrznemi wypadkami zajęci, udziału w wyborach odmówili.

Przegląd poznański.

W miasteczku był jarmark. Ludu wiejskiego z całej okolicy zeszło się mnóstwo, bo każdy potrzebował jakiegoś opatrzenia na zimę.

Deszcz przepadywał i śnieg popruszał; na ulicach było błoto pod kostki i wiatr zimny zawiewał. To też w szynkownéj izbie pana Gierwazego Lawendy tyle zbiegło się ludu, że aż ciemno było, a każdy rozgrzewał się to wódzią, to grzanem piwem.

Za stołami siedzieli chłopi w sukmanach granatowych, zielonych; w kożuchach poszytych suknem albo bają; w płaszczach granatowych *na modę* niemiecką. Jedni w rogatych czapkach z ładnym siwym

barankiem, drudzy w kapturach. Siedziały pomiędzy nimi i kobiety w czepkach ze wstęgami, na wzór mieszczanek, okapione wełnianemi chustkami barw jasnych; w tołubkach szyli szlafroczkach (bo i kmiotki w poznańskiem już tej używają nazwy) — a więc w szlafroczkach z tkanki wełnianej, dobrze podwatowanych; we fartuchach merynosowych, to zielonych, to niebieskich, to kraciastych; okryte wielkiemi derowemi chustkami. Dwie tylko pomiędzy niemi miały sukienne kabaty grubą podszyte flanelą, spięte na mosiężne guziki, w miejscu czepca kapki z białej półpiki, i głowy okolone czerwonemi chustkami, zawiązanemi w dużą ponad czołem kokardę. Przy każdej stał koszyk o dwóch wiekach, z którego różne wyglądały sprawunki: to trzewiki rzemienne, to ciepłe krajczaki; to muślin na nowy czepek, to wstęgi; to cukier i kawa w sinym papierze, to piernik, bułki, owarzanki, garnuszki, dzbanuszki, imbryczki i t. p.

Przy piecu także pare siedziało komoszek: jedne zakapione, drugie w czepkach z sutem oszyciem, mające głowy przewiązane pięknemi jedwabnemi chustkami. Gwarzyły pomiędzy sobą i różnych sobie udzielały nowin; były to po większej części żony dworskich: forszpanów i włodarzy. — Jedna tylko, jakaś

biedna kobiecina, siedząca w kąciku, zatulona chustką już dużo zszarzaną, cicha i milcząca, liczyła na spracowanéj dłoni grosze, półtoraki i trzygroszówki, czy jéj tam jeszcze pozostała dostateczna ilość trojaczków na jakiś nieodzowny sprawunek.

Dalej stało kilku młodych parobczaków a pomiędzy nimi był i jeden z krótko strzyżonym włosem w czapce granatowéj z czerwoną obwódką: znać co dopiero po trzechletniéj wojskowéj służbie do domu powrócił. Młodzież ta zagadywała do dwóch ładnych dziewcząt, z których jedna kraciastą okapiła się chustką, a druga bielutki na płowych włosach miała czepeczek, a na nim chusteczkę żółtą w ciemne cętki, zawiązaną pod brodą. Dziewczęta wesoło białe wyszczerzały zęby.

— Wicku, a będziecie wej na weselu Marysi? — zaczepiła pierwsza parobczaka w wojskowéj czapce.

— Ich? Ja, i będziemy z sobą lendrować, Kasiu. Ja gleich do tego — odpowiedział zagadnięty ochoczo.

— Ja — ich — lendrować — gleich — powtórzyły dziewczęta — szwańder dyńder — poczęły przedrzeźniać niemieckie wyrazy i rozśmiały się głośno, a wtorowali im i drudzy parobcy.

— Jeno się inaczéj znowu godać nie przyuczysz,

Wicku, to i z tobą nie będziemy tańcować — przemówiła pierwsza — dyć ludzie oj śmieją się z ciebie.

— Ja! masz recht, Kasiu, że się śmieją, ale to wszelako niegodliwie — odrzekł nieco rozżalony Wicek, skrobiąc się po wystrzeżonej głowie. — Bo co ja za to mogę, kiedy am Rhein swojej zaboczyłem mowy. Tam tylko szprechałem deutsch. Ale to ja baczę przecie, że i Tomek Śliwczyński i Walenty Jędrasiak gorszą jeszcze mowę mieli, kiej wrócili ze Schlesien, a nie minął rok to i znowu godali, jak się należy. Widzicie, że moja mycka wej jeszcze ganz neu, żem niedawno jeszcze giwerę pucował, lederwerki wajsował, żem niedawno dopiero zebelkę ablegował, to i jakaż dziwota? A w nocy, we szlafie, to i niby nieraz jeszcze słyszę, jak wej Herr Lejtnant szymfuje, że się zerwę i krzyknę: zu Befehl! — Ale to wej wszystko sobie pójdzie, jeno sobie raz i drugi zaśpiewam:

Będziesz ty moją Kasinko, będziesz ty moją!

Jeno mi się przysieweczki w polu dostoją.

I począł spiewać i podskakiwać. — A dziewczęta w śmiech i trącały się łokciami.

Ławę pod drugiem oknem zajęło pare mieszczan,

jacyś dworscy w szarych płaszczach, forszpani z brodami w surdutach szafirowych, piaskowych, brazowych, w szarawarach jelonkowych i kamizelkach czerwonych. Przed nimi stał blady człowiek, z dużym zarostem, z zaczerwienionemi oczami, w surduciku płowym z czarnym manszestrowym kołnierzem, i mając gazetę w ręku, prawił słuchającym jakieś polityczne nowiny, których tamci z wielkiem słuchali zajęciem: był to stolarz z sąsiedniego dworu, którego sprawy publiczne zawsze wielce interesowały.

Tymczasem w drugim rogu wielkiej izby szynkownej, wśród ćmy chłopów i kilku surdutowych — zapewne kowali, młynarzy i t. p., mężczyzna w porządnym szaraczkowym płaszczu coś dużo o nastąpić mających prawił oborach.

— Jak'em wam mówił panowie — ciągnął coraz donośniej, połknąwszy lampeczkę miętówki od cholery — jak'em wam mówił: niemasz to jak pan niemiecki. Pan w Zarzeczu wcale rzetelny człowiek, co prawda, to prawda, ani słowa, ale wszelako nic nikomu z tego nie przyjdzie. A wiem ci ja, że i on tam nie zawsze na czas robotnikowi wypłaci. W tem, to już niemieccy panowie, jakby zapisał. Mówię wam sprawiedliwą prawdę. I pan Kłosowski rzetelny, ale gdyby mógł, to i z duszy dawne przywróciłby czasy.

A mówię przecie, że to pan rzetelny. I pan Piaszczewski. . . . —

— O ten! Ho ho! — pomruknięto w koło.

— To więc widzicie sami. Wszak nie chciałem nic złego o nim powiedzieć. Ale sami wiecie: skąpy że i jajkaby ulał. No nie? rychciuteniek prawda. A wszelako pan Kopfmann. . . . .

— Wo! Ej! Ho ho! — ozwało się znowu kilka głosów.

— Bo go wej nie znacie, ale ja wiem lepiej, jak Boga kocham i matkę najświętszą — i mówca znowu wpadł na okolicznych obywateli polskich i każdemu łatkę przypinał. —

— Mówię wam, że niemasz, jak pan niemiecki, a wierzcie mi ludzie! Tam i ład i porządek i wypłata na czas, to i człek łatwiej dorobić się może. Macie przykład i zemnie: toćże byłem chuchrakiem, a teraz przecie wcale inaczéj stanąłem.

— A jużci. Dyć prawda — dały się pojedyńcze słyszeć głosy.

— Ale Niemiec, to wszelako nie naszéj wiary.

— Zawsze to i Niemiec! — pomruknięto znowu.

Lecz mówca w szaraczkowym płaszczu, nieulęknion y jak Marcus Antonius, przemawiający po

śmierci Cezara do ludu rzymskiego, by im obydzic Brutusa, — zawsze znowu do swojego zadania powracał. Wytykał co tylko niekorzystnego na stronę obywateli Polaków mógł pochwycić — i powoli coraz gęściéj w około przywtarzać mu zaczęto.

— I panowie polscy — zawołał z każdą chwilą śmielszy — to i radziby znowu wszystko stare przywrócić. Ale panowie niemieccy nie, co nie, to nie, jak Boga kocham! Sami to przecie uznacie. I młody Dolewski w Gruszczynie, dobry, uczciwy, aleć i on....

— Wara, co do niego! — przerwał głos donośny i pomięszał nieco szyki oratora w szarym płaszczu. Lecz łyknął na lepszą fantazyą lampeczkę i zaraz téż znowu dalej prawił, z innéj zacząwszy beczki, byle tylko swojego dopiąć.

W czasie najgorliwszéj jego mowy, gdy o młodego Dolewskiego zawadził, kobieta otulona podszarzaną chustką powstała, wspięła się, by dojrzeć prawiącego, potém przecisnęła się wśród tłumu i pospiesznie z szynkowni wybiegła.

Niezadługo rozwarły się drzwi szeroko i weszło dwóch rosłych, barczystych chłopów, a za nimi i kobieta wróciła.

— Podolakowie! Jakżeż się miewacie, Michale i Sobku? — witano ich w koło.

— Więc widzicie, panowie — prawił dalej mówca, nie dostrzegając, że szynkowne powiększyło się zebranie — że to pan niemiecki . . . .

— Werda! Niewiara! Zdradna dusza! — krzyknęli jednocześnie Podolakowie.

Mówca umilkł i pobladł.

— Haź go ha! Dalej-że go, psią parę! — zawtorował stolarz, który po pare razy na prawiącego mroczno był spojrzał, ale znać mu na odwadze zbywało:

— Haź go! Zdrajcę przekupnego! — i przeskoczył ławę, zawijając rękawów, ośmielony przewództwem Podolaków.

Ale Werda rzucił się pomiędzy spłoszone kobiety, pchnął dziewczęta na stronę, otarł się o Wicka, — który ani wiedział, co się stało — będąc niby obcy pomiędzy swoimi — dopadł drzwi i w mgnieniu oka na ulicę prysnął. Wszczął się zgiełk w koło i przekleństwo, pierwszym był stolarz, który za nim poskoczył, i pochwyciwszy kawałek cegły, śmignął nim zręcznie za uciekającym. Właśnie w tej chwili zatoczyła się przed dom zajezdny naprzeciwko ciężko opakowana landara: lecąca cegła uderzyła w okno landary i spowodowała krzyk i pisk przeraźliwy podróżnych kobiet.

Powstał zamęt i zbiegowisko. Przed zajazdem kilku ukazało się mężczyzn.

— Panie Salezy! panie Sutkiewicz! Ratujcie na Boga! Cóż się to dzieje? — wołała przez okno landary przerażona pani Gorzycka.

Przywołani śmiejąc się przystąpili bliżej.

— Nic to, pani dobrodziejko, nic! — ozwał się pierwszy Sutkiewicz. — Wygonili tam tylko jakiegoś urwisza.

— A dla Boga świętego! Już myślałam, że to rewolucya jaka. Okno mi wybili. Słyszanež to rzeczy!

— Czy pani dobrodziejka wysiądzie? — zapytał Sutkiewicz, gdy pan Salezy właśnie jakiegoś ofuknął Żydka.

— A naturalnie, mój dobry panie. Muszę i okno kazać naprawić.

Panowie wywindowali tłustą panią, za nią wdzięcząc się wyskoczyła Emilija, zgrabnie, ostrożnie, by nie uszargać sukienki, a w końcu rumiana garderobiana w kraciastej salopce.

Zaprowadzono panie do znanego nam już pokoju, w którym to Tadeusz przed kilkoma miesiącami tak zajmującą był zrobił znajomość. Było w nim zimno, chociaż przy dniu jarmarcznym napalono w piecu, i

stróż kulawy właśnie znowu co tylko ogromny rozniecił ogień.

— Panie Salezy, panie Sutkiewicz, proszę z nami — dygnęła pani Gorzycka we drzwiach, gdy panowie oddalić się chcieli. — Wypijecie z nami kawki, mam w butelce i śmietankę, doskonałą, i bułeczki wyborne, pieczywa mojej Emilki. Jagusiu, zawiń się jeno i przygrzyj w piecu! Wszakżeż masz z sobą garnuszki.

Jagusia mamrocząc, niechętnie ten rozkaz spełniła: ż e n o w a ł a ją obecność panów.

— Zkądżeż to, że pani dobrodziejka tutaj popasasz? — zapytał Sutkiewicz.

— Lawenda winien mi za pszenicę i dziś jest termin wypłaty. Inaczej byłabym wprost do Poznania jechała. Zanocuję w Zabrzeziu. — Czy jutro będzie polowanie w Mystkowicach?

— Jesteśmy wezwani.

— To i my z Zabrzezia może przybędziemy.

— Sliczny projekt!

— Pani także? — zapytał pan Salezy grzecznie panny Emilii — a mniemał, że to zapytanie daje do myślenia.

— Jeżeli się mama wybierze — odrzekła panienka skromnie — i ciocia, pani Sielska, z Zosią pojedzie.

— To o tém wie pan Salezy zapewne najlepiej — pochwyciła mama, patrząc się na niego z uśmiechem.

— Jo? A jo zkąd? — zdziwił się kawaler lekko zarumieniony.

— Tak też — i pani Gorzycka znacząco pokręciła głową.

— Jo nic nie wiem — i pan Salezy znowu zwrócił się do panny.

— Panie Sutkiewicz, wszakżeż pan Salezy zapewne wie dobrze o tem, czy kuzynki nasze będą jutro w Mystkowicach? — zwróciła się pani Gorzycka do niego, mrużąc oczy figlarnie.

— Pani dobrodziejko — Sutkiewicz był w kłopotach, bo powinien był z powinności stanąć po stronie pana Salezego, u którego bawił, a przez grzeczność powinną — bo i u pani Gorzyckiej przebywał nieraz — nie godziło się, by jéj wyraźnie zaprzeczył. — Pani dobrodziejko, tak samo i ja mógłbym o tém wiedzieć. Bo przedwczoraj byliśmy obydwaj w Zabrzeziu, wracając z odpustowego objadu, a że u księdza proboszcza flaki były niedogotowane, więc ja zaproponowałem, byśmy do Zabrzezia na herbatę wstąpili. Ale bawiliśmy krótko i mowy o polowaniu nie było. — Pan Sutkiewicz wywinął się dość gładko: i wilk był syty i koza cała.

— Pani dobrodziejka pewnie za sprawunkami do Poznania jedzie? — zwrócił się następnie do innego przedmiotu, właśnie gdy pan Salezy bardzo zajmującą o straszliwém błocie, deszczu i śniegu, z panną zawiązał rozmowę.

— A tak — odrzekła pani Gorzycka wesoło. — Mam kupić na pare sukienek u Magnuszewicza, a może u Liszkowskiego; potem kapelusiki u Kozłowskiej; koronki u Szymańskiej; muszę zrobić parę obstalunków u Kamieńskiego, odebrać bóciki od Włościborskiego, — i jeszcze tysiączne inne poułatwiać rzeczy. A Milusia wybierze sobie nowe książki u Zupańskiego i zaopatrzy się u Rosego w papier listowy.

— To panie bardzo wiele macie na głowie.

— Chcę także i stancyą na karnawał w Bazarze zamówić.

— A to śliczny zamiar pani dobrodziejko, będzie z tego młodzież uradowana.

— Nie wiem, czyli też będą bale w Gnieźnie i w Wągrowcu.

— O zapewne. I przecież pani dobrodziejka nie zrobisz im krzywdy, i zaszczycisz nasze stare Gniezno i poczciwy Wągrowiec bytnością swoją.

— Powinnabym, bo i tam i tu mam w okolicy

familiją, a wprowadzając córkę w świat, należy się zaprezentować ją wszystkim.

— A jest co, pani dobrodziejko, jest co!

— Nie żartuj pan sobie.

— Słowo daję.

— A panowie, zjedziecie też na karnawał do Poznania?

— O będziemy, będziemy, z Salusiem.

— Panie Salezy, a nie wie pan, czy pani Sielska z Zosią będzie na karnawał w Poznaniu? — zwróciła się pani Gorzycka znowu z figlarnym uśmiechem do Piaszczewskiego.

— A zkąd? Jo nie wiem.

— Myślałam — poszepnęła znacząco. — Panie Sutkiewicz czyliż i o tem nie wie pan Salezy?

— Nie było mowy o karnawale.

Tymczasem zamroczona Jagusia kawę podała i z kobiałki bułeczkę dobyła.

— Wyśmienita bułeczka — wyrzekł Sutkiewicz, kłaniając się Emilji.

— Któraż lepsza, nasza czy w Zabrzeziu? — zapytała pani Gorzycka niby też to dowcipnie.

Pan Sutkiewicz troszkę był w ambarasie — ale wszakżeż sobie zawsze i wszędzie poradzić umiał, więc i teraz bez namysłu odrzekł:

— Są w odmiennym rodzaju, lecz obiedwie przewyborne — a potem szybko o czem innem prawić zaczął.

Gdy panowie po kawie ucałowawszy paniom rączki, znowu za jarmarcznym poszli interesem, nadszedł przywołany pan Lawenda z przeciwka, w sutéj, zielonej czamarze. Skłonił się z poszanowaniem i ze skórzanego trzosa, gdyby lodu, nowych, pięknych talarów na stół wysypał, — że aż Jagusia sobie pomyślała: nie mają to pannie kawalerowie czapkować, kiedy pieniądze ze wszystkich stron płyną — i niby pogardliwie głową kiwnęła.

— A cóżeście to tam za rewolucyą mieli, panie Lawendo? — zaczęła pani Gorzycka — że mi aż okno u landary wybili.

— Oj z przeproszeniem wielmożnéj pani — zapytany, grzecznie, mocno łysą skłonił głowę — zwyczajnie naschodziło się ludu, jakiś im ta począł o oborach prawić: żeby Niemca obrali, że pod niemieckim panem każdemu najlepiéj; począł naszych panów szkalować, niegodzijasz, i rzucili się na nicponia, jeno, że im umknął. A najbardziéj dokazywał stolarz z Toporzysk, jeżeli wielmożnéj pani znajomy.

— I kogoż tam szkalowali?

— Wszystkich z kolei, z przeproszeniem wielmożnej pani. Ale mu się najbardziej skrupiło, kiedy zawadził o młodego pana Dolewskiego z Gruszczyna.

— O! więc go bronili?

— Chłopstwo go ma w poszanowaniu, wielmożna pani i lgnie do niego. Sam pamiętam, kiedy była cholera: chorych ratował, bo zna się na doktorstwie, jak to pewnie wielmożnej pani wiadomo, i trudu nie szczędził i biednym darmo leków udzielał.

— O wiem, wiem, znam dobrze pana Tadeusza Dolewskiego.

— A pamiętają oj parobcy, z przeproszeniem wielmożnej pani, kiedy to . . . — i coś szepnął pani Gorzyckiej, ku niebu spojrzał, ramiona uniósł, ręką machnął i głową pokiwał — więc też wielkie pomiędzy nimi ma zachowanie. Mój Jezu! toćże to niby wczora pamiętam, kiedym go oj widział z przewaloną głową — poczciwy Lawenda po łysej czaszce grubym wskazał palcem — aż mi się serce krajało. Byłci tam i mój Tomaszek przy nim.

— Ale jakżeż przecie słychać: czy obiorą Polaka?

— Ha! wielmożna pani, wielkie tam dzieją się niegodziwości. Oj ten kupiec korzenny tam na rogu, co to już taki ciężki zbił majątek, to i drepci z przeproszeniem wielmożnej pani, i podmawia, i burzy,

i dokazuje, że człek poczciwy aż się żółcią zalewa. Jednemu grożą, drugiego głaszczą, niech ręka Boża broni!

— Takim sposobem to wybór zapewne na Niemca padnie.

— Wielkie są ku temu starania i podstępy: już to oj i wioski tak podzielili do oborów, wielmożna pani, aby wszędzie byli Niemcy. — To też z niejednej gminy i mil kilkanaście jechać wypada. Więc temu i niekażdy podołać może. Oj, ciężka dola! — Ale — proszę teraz wielmożnej pani, to i narachowałem rychciuteniek — pan Lawenda utykał palcem po talarowych rzędach, przeliczając raz jeszcze, czyli gdzie zmyłki nie było.

— Dobrze, dobrze, mój panie, widzę, że wszystko jest akuratnie. Otóż i pokwitowanie.

— Dziękuję wielmożnej pani — i odebrał z poszanowaniem pokwitowanie. — Na drugi raz pozwoli wielmożna pani znowu sobie służyć. Panu Bogu oddaję. — Skłonił się całą ukazując łysinę i co ducha do swojego powrócił zarobku.

Pani Gorzycka upomniała Jagusię by kobiałkę dobrze zapakowała, w której była szynka, półgęsek i salseson — za co rumiana garderobiana znowu coś pod nosem zamamrotała. — I już się miało ku za-

chodowi, gdy landara ze stłuczonem oknem, którego szklarz żyd przy jarmarku, mając ważniejsze czynności, nie wprawił, po błotnistych potoczyła się uliczkach.

Za landarą dążyła mała bryczulka, parą lichych wleczona szkapin. Siedziały na niej dwie kobiety: pani majstrowa Murawczyna i jej synowa. Pierwsza przytrzymywała kosz z różnemi sprawunkami i kołowrotek, który z naprawy wiozła; druga miała twarz całkiem zakrytą i siedziała tyłem do matki, zasłaniając się od wiatru.

Pani nauczycielowa była zadąsana i z westchnieniem patrzyła się na landarę pani Gorzyckiej. O gdyby to mieć podobną! — Bo i dla czegoż nie miała? — Jakaż to niesprawiedliwość losu! — Ale skoro tylko Wincenty zostanie administratorem lasów golędzińskich i na Gruszczynie, to przecież wtedy, chociaż powozik jaki kupić musi! — I poczęła marzeniem o przyszłej pocieszać się doli.

Landara skręciła na lewo a wózek potoczył się po zwirowce na prawo.

Zaiskrzyło niebo na przymrozek — a potem rozjaśnił księżyc śniegiem przypruszone pola.

Pani nauczycielowa ciągle o przyszłym dumała powozie — a majstrowa cicho zmawiała paciorki.

Dojechały do Gruszczyna, gdy w tém przy kanale, dzielącym ogród dworski od pola, majstrowa konia i dwoje dostrzegły ludzi — a gdy się więcej zbliżyli, rozpoznała wyraźnie: Karola Werdę i Jasia, pokojowczyka pana Tadeusza.

»Oj i zdrajca! pewnikiem zdrajca!« — poszepnęła sobie, i raz jeszcze ku nim spojrzała.

Gdy przybyły do domu i zniesiono koszyk i kołowrotek, poczęła majstrowa synowi zaraz opowiadać, że widziała Werdę kryjomo rozmawiającego z Jasiem.

— Musisz pójść do pana Dolewskiego, musisz pójść i ostrzedz go koniecznie. Bo nic innego, jeno, że ten chłopak go zdradza. Sam pan Bóg znać dał, żem ich kunszachty widziała.

— Pójdę, mamulku, pójdę może i zaraz jutro.

I był to pewnie szczery zamysł Murawki — ale potém wzięła go żona na stronę i poczęła mu kłaść w uszy: po co w obce ma mięszać się sprawy.

— Bo i cóż ci z tego przyjdzie? — dowodziła. — A jak Kopfmann Golędzin kupi, to miałbyś tylko nieprzyjaciela na karku. Przyskrzyniłbyś się nielada. A i w czemżeż taki chłopak może tego Dolewszczyka zdradzić? Ciekawam. Czy spisek jaki knuje, czy co? Zwyczajnie pogadali z sobą, jako dawni znajomi, a matce widzi się zaraz, że to jakaś zdrada i Bóg wie

co wszystko. Byłbyś głupim, gdybyś się w takie mięszał głupstwa. Plotki babskie, nic więcej. Jeszcze by cię wyśmiali. Wszakżeż tego nie zrobisz, Wicusiu?

— Ej zapewne. Bo i w czemżeż go chłopak ma zdradzić? Cóż on robi takiego? Nie pójdę. Tylko matce nic nie mów.

— Uchowaj Boże!

Murawce dogodziło to przemówienie, jejmości, bo nie chciał z Werdą zrywać, któremu już kilkanaście był winien talarów, a rozumowe uwagi żony ulżyły mu i na sumieniu.

Landara pani Gorzyckiej zajechała tymczasem przededwór w Zabrzeziu. Przez szczeliny okiennic biło światło z bawialnego pokoju, a gdy panie wysiadły, zobaczyły wiszące rosomaki w sieni.

— Czy są goście? — zapytała pani Gorzycka.

— Pan Dolewski — odpowiedział lokaj.

— A więc ma obudwóch — poszepnęła matka córce.

W bawialnym pokoju, pani Sielska, Zofija, Francuska i dwie małe panienki, — wszystkie stół obsiadły i szyły czepeczki i t. p. dla sierotek poznańskich. A Tadeusz czytał paniom głośno poetyczne Syrokomli Gawędy.

Przybycie nowych gości harmonijne rozerwało kółko.

— O moje kochane! — zawołała zaraz z góry pani Gorzycka, wygodną zasiadając kanapę — cóżeśmy też dzisiaj strachu przeżyły! Toćże w miasteczku była rewolucya.

— Rewolucya? — pytano ciekawie w koło.

— A rewolucya. Gonili się z kijami, z pałkami, rzucali kamieniami, powybijali okna, toćże i mnie okno u landary wybyli.

— To i cóż się tam działo? — zapytała pani Sielska.

— Jakiż tego był powód! — wymówił jednocześnie Tadeusz.

— Chodziło o obory. Jakiś przybłęda powstawał na obywatelstwo nasze, wygadywał niestworzone rzeczy na wszystkich, a namawiał, by głosy na Niemców dawali. Szkalował i pana Tadeusza, ale potem zuch jakiś, stolarz z Toporzysk, na obronę panów wystąpił; za nim rzucili się i drudzy, połamali stoły, ławki, i tamten urwisz ledwo z życiem uciekł. Działo się to w szynkowni u Lawendy, i właśnie kiedyśmy zajechały przed hotel. Krzyk, hałas, bijatyka, wytłuczone u landary okno, myślałam, że sąd Boży nastał! Z tego odmętu wyratowali nas tylko Sutkiewicz i pan Salezy. Wysadzili nas pod strachem Bożym, ażeby kamieniem w głowę nie dostać i wnieśli niby na powietrzu do hotelu. Zacni ludzie, wielce

nas zobowiązali. Byli przy nas przez cały czas, nie chcieli nas odstąpić, dopóki nie uciszyło się wszystko. Już to rzeczywiście pan Salezy bardzo dla kobiet jest grzecznym.

— To straszna historya! — wymówiła pani Sielska, pokręcając głową.

I Tadeusz ubolewał, że panie tak niemiły spotkał wypadek.

— A na polowaniu będziecie jutro w Mystkowicach? — zapytała wreszcie pani Gorzycka, nagadawszy się już do woli o tych wszystkich przestrachach w miasteczku doznanych.

— Nie będziemy — odrzekła pani domu.

— A to dla czego? Pojechałybyśmy także.

— Po co? Panowie znużeni z polowania powrócą, i mają się dla nas przebierać, i bawić nas, to i po cóż im takienie potrzebne trudy?

— I jam także przemawiał za tem i prosił, by panie nas swoją zaszczyciły obecnością — ozwał się Tadeusz.

— Po co? Na co? — Zosiu niechaj podadzą herbatę — zakończyła pani Sielska kwestyą o jutrzejszem polowaniu z wielkiem niezadowolnieniem pani Gorzyckiej.

W kilka dni potém nastąpiły obory. Zawiści — intryżki — niegodne podstępy odniosły zwycięstwo, i pan Kopfmann jako deputowany do Berlina pojechał.

12.

Ziemia poznańska to najstarsze gniazdno nasze — więc też wszędzie łacno drogie powstają wspomnienia.
(z korrespondencyi prywatnej.)

Poranne światło, błyskotne, jaskrawe, zrumieniło oszroniałe drzewa i śnieżną ziemi powierzchnię.

Po gościńcu gnieznieńskim szybko podążała landara, a przez spuszczone okno wychylała się niekiedy młoda, świeża, ładna twarzyczka, pogodna jak ten piękny, wesoły poranek, mierząc jasném modrych oczów spojrzeniem rozległe, białe pola, siniejące zwolna ponad niebieskim krańcem w oddali; urazmaicone, niby płaskorzeźbą na śnieżnéj rowninie, to wioską ubieloną, to pojedyńczemi zagrodami hubiarzy, do których — jakby na pustyni — i śladu ludzkiéj nie dojrzano stopy, to lasem szronem posrebrzonym.

— O mamo, co za ranek prześliczny! — zawołała

Zofija, gdyż to była pani Sielska z córką które, odwiedziwszy krewnych w Gnieźnieńskiem, jechały teraz do Poznaniu dla załatwienia niektórych sprawunków.

— Dobrze, żeśmy się tak rychło wybrały, bo jeszcze za dnia w Poznaniu staniemy — odrzekła matka nieco prozaiczniéj.

Zofija znowu wychyliła główkę, jakby niecierpliwa co rychléj do pewnego dotrzeć kresu — i otóż na zakręcie drogi ujrzała Gniezno: górę Lecha — dziejowy kościoł katedralny — a zdawało się tak blisko, tak blisko, jak gdyby ich nie więcéj nad ćwierć mili od miasta dzieliło. Ale Zofija wiedziała, że jeszcze przeszło półtorej mili do starego było grodu, bo już nieraz zwiedziała to miejsce niejedną uświęcone pamiątką — i przedawną, na całą Polskę znaną, poetyczną o białych orlętach legiendą.

Podróżne nasze umilkły: matka w praktycznym umyśle rozważała jakieś interessa ważniejsze — córka marzyła, jak zwyczajnie młode marzą dusze, i w jéj rozbudzonéj fantazyi cudowne majaczyły F a t a m o r g a n a — a raczéj śliczne polskie m a j a k i.

Gdy karnawał nadszedł, zapytała pani Sielska córki: czyli sobie nie życzy na którym być balu? Zachęcały do tego i ciocie i kuzynki — mianowicie też pani Gorzycka, — ale panienka całując mamę

w rękę, oświadczyła: że żadnej ku temu niema ochoty.

— Bywałam zeszłego koncerta, kochana mamo, i natańczyłam się do woli. Zdarzy się też może jaki wieczorek w okoliczy, to i zadowolę się zupełnie. Bale przesyciły mnie naprawdę.

Pani Sielska nie namawiała też wcale, bo jéj to postanowienie córki wielce dogadzało: nie lubiła niepotrzebnych wydatków i uważała huczne balowanie i wystawność wcale nie na czasie — pod żadnym względem. Więc cicho im czas dla drugich weselny w Zabrzeziu ubieżał. W połowie lutego wybrały się do rodziny, a teraz — jak'eśmy już wyżej powiedzieli — do Poznania jechały.

Zofija wszelako inny jeszcze miała powód a nie przesyt, by na żadnym nie być balu: bo wszakżeż Tadeusz nosił żałobę — a nie tylko suknią, lecz głęboko w sercu i duszy. Domyślała się téj przyczyny zapewne i pani Sielska — bo przecież była kobietą! — Ale nic nie mówiła i niczem nie okszywała, że się czegoś domyśla: udawała nawet że nie odgaduje szczerych a gorących starań młodziana. Ceniła charakter Tadeusza Dolewskiego, który — gdyby przy Gruszczynie utrzymać się potrafił — i niezłą byłby partyą, ale dotąd sama jeszcze nie wiedziała: czyli

go będzie mogła na zięcia przyjąć lub nie. Przyszłość miało to dopiero rozstrzygnąć. A co do roznieconego uczucia w sercu córki, o tem ani pomyślała: wszakżeż i ona była kiedyś młodą, i ona swojego narzeczonego lubiła, ale byłaby się bez żalu i przy ołtarzu ślubnym z nim rozeszła, gdyby tego stosunki i okoliczności były wymagały, — więc podług własnego chłodu serce oceniała córki: »Lubi go« — powiedziała sobie — »podoba jéj się, ale gdybym na ich związek nie pozwoliła, to i wyperswadowaną-by była. Niema potrzeby odstręczać go: o partyą pannie dziś nie tak łatwo, a z niego jeszcze wcale dobra być może. Jeżeli zaś potem stanie się inaczej . . . . . no, to przecież jeszcze ktoś inny się znajdzie« — i spokojnie spoglądała na wszystko. — Przytém zawsze wspominała sobie i pana Salezego. Otóż to była partya! — Pan Salezy wprawdzie nie bardzo powabny, zbywa mu i na wykształceniu, jest sobie swojego chowu — nawet i poprawdzie trochę nieokrzesany, ale ma opinią prawego obywatela, majętny, doskonały gospodarz, oględny, nie wyda grosza nadarmo i z każdym rokiem swoje mienie powiększa. — Pani Sielska wolałaby oczewiście pana Salezego aniżeli pana Tadeusza.

Matka i córka po swojemu dumały — a landara dojechała tymczasem do Gniczna, zaturkotała na

cichych ulicach i zatrzymała się przed hotelem polskim w rynku.

Zofija spojrzała na zegarek: była dopiero osma — i wypiwszy filiżankę szokolady z cukierni p. Tyrankiewicza, wzięła z sobą garderobianą, pannę Wojciechowską, i do katedry pobiegła.

— Czy trafiłam na mszą ś.? — zapytała jednego ze stróżujących chłopów, którzy po dwóch kolejno z całej okolicy, od rana do nocy, i od nocy do rana, świętego pilnują przybytku: kościoł zgorzał pare razy i ztąd ta teraz ścisła ostrożność.

— Właśnie wej będzie msza ś. w kaplicy, wielmożna panienko — odrzekł zapytany.

Zofija weszła do świątyni Pana i przyklękła przy grobie ś. Wojciecha. Dziwnego młoda dziewczyna zawsze doznawała wrażenia — zawsze równie uroczystego, zawsze zarówno silnego — patrząc się na srebrną figurę ś. męczennika, podnoszącego głowę i lewą rękę, jak gdyby i z poza grobu jeszcze wielkie wiekuiste prawdy swojemu chciał wygłaszać ludowi, i napominać go do wytrwania, do przewielkiej niczem niezachwianej ojców swoich wiary.

Zofija przycisnęła splecione ręce do piersi, pochyliła czoło, przymknęła zwilżone powieki, i z głębi duszy

przesłała za pośrednictwem ś. Patrona naszego, gorące wołanie do Ojca wszechrzeczy.

Opodal klęczał starzec siwowłosy; przy nim mały chłopczyna, trzymający w obudwu rączkach czerwoną czapeczkę — i wpółcichym powtarzali śpiewem: Przed twe ołtarze zanosim błaganie! — Zofija całą wtorowała im duszą.

Po wysłuchaniu mszy ś. powróciła do hotelu — a potém landara szybko znowu po trakcie poznańskim zdążała.

Zofija do przeróżnych marzeń niewyczerpany w sobie miała zasób, a świeżo doznane w katedrze wrażenia, nowych dostarczyło jéj bogactw. To też snuły się różne, przeróżne widzenia przed oczyma jéj duszy: to zamierzchłe w powodzi czasów dziejowe podania, pełne poetycznego uroku; to wybiegające w promiennem świetle znane, wielkie wypadki; to smutne pełne załów koleje — to . . . . . .

Ale otóż i śliczne Iwno! — Zofija spojrzała na prawo: kościoł i plebanja wśród drzewin na wysokiem wzgorzu. Spojrzała na lewo: jezioro w nizinie, niby wielkie zwierciadło w marmurowéj osadzie; na niem wysepka w kształcie dużego kopca, a na wysepce figura ś. Wawrzyńca i gniazdo bocianie na rozsochatém drzewie. Ponad jeziorem domek otaczony wie-

rzbami, poza nim ogród w piękne drzewa bogaty; dwa pozostałe szare pawiloniki od dawnego pałacu; fontanna — a dalej, wprost kościoła, znowu na podniesieniu, nowy pałac pięknej, eleganckiej struktury, wyzierający z poza drzew nad wyraz wdzięcznie i uroczo. Jakież to malownicze obrazki po jednej i po drugiej stronie! — A Zofija jako biegła rysowniczka duszą artystyczną piękne chwytała widoki.

Po kilkunastu minutach jazdy, wtoczyła się landara do Kostrzyna. Dawna to mieścina, zniszczona niegdyś przez Krzyżaków, jeszcze w r. 1331. — Biedny Kostrzyn i w nowszych czasach różne przetrwał klęski, zgorzał wiele razy i dotąd podnieść się nie może. — Podróżne panie właśnie dostrzegły jak ubodzy z rozdaną im zupą w spore garnki, przez rynek na różne rozchodzili się strony — dzięki zaradzającym nędzy! —

Zofija wyglądała coś niby niespokojnie to jednem to drugiem oknem, jak gdyby czegoś upatrywała. A gdy na końcu miasteczka, przed zielonym domem z napisem: Hotel de Posen, zobaczyła koczyk ciemnoszafirowy, spłonęła jak pączek róży i modre oczęta dziwnie zabłysły.

Landara zatrzymała się przed hotelem, bo konie

należało popaść — i w téjże saméj chwili wybiegł z zielonéj kamieniczki pan Tadeusz Dolewski.

— Pan tutaj? — zdziwała się pani Sielska, gdy do landary przystąpił.

— Jadę do Poznania, pani dobrodziéjko — odrzekł lekko zarumieniony.

— I my także do Poznania jedziemy.

Pan Tadeusz wprowadził panie do małego, schludnego pokoiku.

— Dziś jest tu koncert na rzecz ubogich — oznajmił im najważniejszą na teraz nowinę kostrzyńską, wyliczając z kolei sztuki muzyczne które przez dilettantów miały być wykonane.

— Koncert w Kostrzynie! — powtórzyła Zofija. — Szkoda że na nim być nie możemy, już to ażeby uszanować tak poczciwą zasługę. Ale bilety weźmiemy, bo należy się przyłożyć czemsiś do tych zacnych chęci — i zaraz téż po swoję podróżną sięgnęła torebkę.

Uradowana gospodyni hotelu na zawołanie kilka przyniosła biletów.

Po krótkim objedzie razem spożytym — z wielkiem zadowoleniem dwóch mianowicie osób — podróżni nasi znowu pospieszyli dalej.

Równina w koło — wioski na lewo i na prawo —

lasu maluczko — a po polach gęste, porządne, hubiarskie zabudowania.

Zofija i teraz niekiedy główkę w czarnym aksamitnym wychylała kapelusiku, a ile razy to czyniła, dosłyszała turkot ciemno-szafirowego koczyka i jednem okiem dojrzała, tuż za landarą, rącze gniade koniki.

Tam na lewo — a było to właśnie po jej stronie — widać dwór nieco fantastycznego kształtu po-za oszroniałemi drzewami ogrodu; przy nim wysoko wystrzelone, przynajmniej stuletnie, czarniawe świerki; kościół drewniany z kształtną wieżycą — to Siekierki, znane Zofji z Wawrzyny — Wsi i miasta i jeszcze innych powiastek, bo Zofija (dla autorki z chlubą) te swojskie opowiadanki czytała.

Potem nieco pustą była droga — aż znowu wjechali do Swarzędza, do zalanej żydami mieściny. Zofija przypomniała sobie Żydki swarzędzkie w Ramotach i Ramotkach.

Na środku rynku stoi ratusz, gmach duży o piętrze, którego budowa rozpoczęta przed wielu laty, nigdy podobno dokończoną nie zostanie, mistety! *) — Sterczy on z rumianej cegły wzniesiony, duchówką pokryty,

*) Otóż i będzie! — Bo właśnie gdy ta drukuje się powiastka, budują nad ratuszem swarzędzkim.

bez okien, dozwalający wolny przewiew wiatrom i śnieżnym zamieciom. A przyczepiona, znacznie później, drewniana wieżyczka — niby gołębnik — z zegarem niezawsze sprawiedliwie wskazującym godziny, jest niejako urągowiskiem wzorom budownictwa i sztuce architektonicznej.

Gdy landara dalej po zwirowej za miastem toczyła się drodze, Zofija znowu po pare razy wychyliła główkę, by spojrzeć poza siebie, bo lubiła z téj strony widok Swarzędza — dawnego niegdyś Grzymałowa, które dopiero w wieku XVI Karol Grudziński, wojewoda kaliski, w miasteczko był zamienił. Miasteczko leży na wysokiem wybrzeżu jeziora, które szeroko wody swoje rozlało; niżej i wyżej ciągną się domki ogrodami poprzedzielane, a na punkcie najwyższym, w miejscu najwydatniejszém, rysuje się na tle błękitu malowniczo ładnie, kościół murowany.

Straszne, niby nieprzebyte piaski dzieliły dawniej Swarzędz od Poznania. Kilku kolonistów z Bambergu i Durlachu, osiedlonych w tém pustkowiu, nieszczędzących pracy i mozołu, stanowili istotne oazy téj nowéj Sahary. Później obsiewano to morze piasczyste owsem piasecznym, trawami różnemi, sosno-

wemi szyszkami i t. p. — a teraz wśród wymuszonej sztuką i zabieżnością zieleni, droga zwirowa prowadzi.

Na lewo, przed Komandoryą — wioską tuż pod samym Poznaniem, należącą niegdyś do kawalerów maltańskich — stoi figura ś. Jana Nepomucena pod drzewami; w koło starannie założono klombiki, wyłożono je darniną i umajano kwiatami. — Po drugiej stronie drogi, wojsko park na piasczystej założyło płaszczyznie. Zobaczysz tam zręczne essy-floressy z darniny, krzyże w kształcie żelaznego krzyża pruskiego; kanapki darniowe, brzozowe — i z wielką starannością chodowane topole, wierzbinę i t. p. —

Nie bez wzruszenia minęła Zofija stary kościołek ś. Jana Jerozolimskiego — dawnych sięgający czasów! — o którym także niejedno pomiędzy ludem krąży podanie.

Wjechali nakoniec po moście zwodzonym przez piękną bramę forteczną do dawnego Przemysława grodu. W tem miejscu leżały dawniej wielkie kamienie oznaczone krzyżem maltańskim, bo tutaj była granica posiadłości kawalerów. — Wjechali w smutną część miasta, bo zaniedbaną i zubożałą najbardziej — a najdawniejszą i mającą najwięcej narodowego pierwiastku, a tą jest: Środka i Chwaliszewo. — W r. 1288 miała Środka swój magistrat, złożony

z burmistrza, rajców, ławników i t. d. Przemysław II obdarzył ją swobodami a biskup poznański prawem magdeburskiem. — Żal ściska serce przebywając te dziś zbiedzone ulice. — Spustoszały kościoł ś. Małgorzaty na Środce ma być jedną z najdawniejszych świątyń Poznania, bo jeszcze w r. 1244 osadził Paweł I, biskup poznański, przy nim X. X. Dominikanów.

Podróżni nasi przebyli most na Warcie — minęli piękny kościoł katedralny — Chwaliszewo — przebyli most drugi — i otóż ulica Szeroka — rynek — i ujrzeli się w samém środku ruchliwego Poznania.

Zofija powitała starożytny ratusz któremu zawsze z nieokreślonem przypatrywała się zajęciem. Spojrzała na wizerunki królów polskich — i wzniosła oczy na szczyt wieży — kędy białe orle swoje rozpościera skrzydła.

Na Nowej ulicy nie bez zajęcia wejrzała na księgarnię Żupańskiego, Kamieńskiego i Sp. —

Landara zatrzymała się przed Bazarem — piękny to, wielki budynek.

— Czy jest stancya?

— Jest. Zamówiła ją pani Gorzycka.

Pan Tadeusz panie wysadził i wprowadził na piętro, gdzie je kuzynki powitały serdecznie.

13.

Często cios zguby nagle uderza.

Nazajutrz wieczorem w Kółku, w Bazarze, dużo zebrało się mężczyzn: nie było nigdzie balu ni też większego wieczoru, więc bawili się jak mogli: jedni zasiedli do guerillasa, drudzy do szachów i t. p. — a kilku młodych, w poufnem gronku, wesoło sobie gwarzyło. Był pomiędzy nimi Tadeusz, i opowiadali mu różne nowinki karnawałowe: o balach Towarzystwa kółkowego na wielkiej sali bazarowej; o balach na małej sali, złożonych z zebrania więcej w sobie zawartego; o wielkich balach składkowych na cele dobroczynne; o swarach rozmaitych, o uchybieniach, to takich, to owakich, i t. p. — boć to na świecie, jak na dworze, mówi dawne przysłowie.

Wymieniali mu ładniejsze panienki — rozumie się, że była mowa i o majętnych: bo zdepoetyzowani

chłodem, który od obcych ku nam wieje, materyalizujemy się także na wzór cudzoziemski. — Rzucali domysły: że ten kawaler o tę stara się pannę; a tamten zakochał się w tamtéj; że tamten ojciec pragnąłby tego mieć za zięcia, a tamta matka tamtego. — Jednych wyliczono zalety — drugich ganiono — jak to zwykle bywa! — Przeszli następnie i do innych przedmiotów — ważniejszych, smutnych — bo zaczęli mówić o tém co boli. Aż wreszcie młody obywatel, przyjaciel Tadeusza, opowiedział niedawno wydarzone zajście pana X, szanownego powszechnie obywatela księstwa, z jednym z wyżej postawionych panów niemieckich w Berlinie — co znowu młode ożywiło umysły. — »Pan X znajdował się zagranicą i zeszedł się z owym panem niemieckim przy objedzie. Ten ostatni począł mówić o W księstwie Poznańskim i zapytywał o to i owo. — »A macież panowie jeszcze dużo lasów?« — dorzucił nakoniec. — Pan X wymienił które okolice przechowały dotąd jeszcze dość pięknie. — »A macie też jeszcze dużo niedźwiedzi?« — pytał dalej pan ów z wyrazem obrażającej ironji. — »Cywilizacya wytrzebiła nam lasy, Excellencya« odrzekł pan X »i niedźwiedzie wyniszczały. Jeżeli zaś teraz jeszcze gdzie napotka się którego, to niezawodna, że jedy-

nieli tylko z Niemiec do nas zawitał.« — Całe zebranie objadujące, jakkolwiek z Niemców złożone, ochoczo przyklasnęło téj odpowiedzi«.

Coraz więcej do ożywionéj rozmowy napływało żywiołów. Chwile w młodem kółku biegły ochoczo, rozweselonym pobudzone humorem. Gawędka toczyła się coraz swobodniéj — a gdy znowu do karnawałowych wróciła ploteczek, — Tadeusz spojrzał na zegarek: dochodziła godzina ósma, więc powstał i za kapelusz pochwycił.

— Dokądże, Tadzio? — zapytano w koło, bo Tadeusz Dolewski był wielce lubionym wśród młodéj braci.

— Do pani Gorzyckiéj na herbatę.

— A szedł tam już Salezy Piaszczewski ze swoją basetlą — ozwał się jakiś wesoły młodzian, dowcipkując z wiecznego przytakiwania pana Sutkiewicza.

Tadeusz zastał już panią Sielską, pannę Zofiją, i panów Piaszczewskiego i Sutkiewicza u pani Gorzyckiej.

Pani domu grzeczna i uprzejma dla wszystkich, powitała go nad wyraz mile. Panna Emilija nalewała herbatę, w czem jéj Zofija dopomagała, — więc i

Tadeusz pogadawszy nieco ze starszemi, paniami, do herbacionego przystąpił stolika. Pan Salezy za nim spojrzał, wprawdzie bardzo obojętnie, jak gdyby go to nie obchodziło bynajmniej — ależ zawsze spojrzał.

Niebawem też nastąpiła repetycya tego co Tadeusz już był posłyszał — ale ze stanowiska innego wcale widzi-mi-się. Prawiącą i powtarzającą te wszystkie wiadomostki była pani Gorzycka i: to słyszała je inaczéj — to rzecz w innem pojęła świetle — to po swojemu nakręciła, — dosyć, że i końca i miary gawędzie nie było. Tadeusz byłby ziewnął niezawodnie, gdyby tam Zofji nie było.

Już spełniono pierwszą filiżankę herbaty, gdy drzwi otworzono i wszedł blady, karnawałem znękany Nicuś.

Ten suplemencik do zebranego u pani Gorzyckiej kółka, przez ukazanie się swoje, tyle przynajmniej zdziałał dobrego — (co jemu zresztą nie zdarzało się często) — że przerwał na chwilę ten nużący prąd mowy.

— Jak się masz Nicusiu?

— A pan Nicefor!

— Dobry wieczór.

— Jak się masz?

Zasypano go w koło — do czego pan Salezy jeszcze dorzucił pytanie:

— Jakoż tam pogoda? czy pado deszcz czy śnieg.

— Mrzy trochę.

— Zkądżeż idziesz?

— Od siebie, z hotelu bawarskiego — pan Nicefor z kwaśną miną rozparł się w krześle.

— Zmęczonyś?

— Ale jak!

— Karnawałujesz, tańczysz za wiele! — pochwycił Tadeusz.

— Ej gdzie tam! Kto mi każe tańczyć. Na balach bywam, ale nie tańczę. Nudzę się tylko.

— To i pocóż kuzynek bywa na balach, skoro nie tańczysz i nudzisz się? — wtrąciła Zofija.

— Bo i cóż robić? Zresztą ja wszędzie się nudzę.

— Czy i w Berlinie także? — zapytał pan Salezy.

Pan Nicefor coś niezrozumiale odbąknął.

Podano mu herbatę — i skrzywiwszy się począł ją przemięszywać łyżeczką.

Pani Gorzycka wpadła znowu na trop karnawału — a panny wzięły się pod ręce i chodząc po salonie coś cicho z sobą mówiły.

— Milciu — zaczęła Zofija, lekko zapłoniona — pan Tadeusz zakupił jutro na godzinę siódmą z rana mszą ś. u Bernardynów: jestto rocznica śmierci jego

matki.... Czy pójdziesz zemną na tę mszą załobną? Weźniemy z sobą Wojciechowską.

— Owszem, pójdę jak najchętniéj.

— Ale nietylko z powodu religijnego, Zosiu, lecz i dla ciebie, aniołku! — Emilija uśmiechnęła się dobrodusznie i pocałowała pokrewną sobie dzieweczkę.

Potém jeszcze coś więcéj mówiły — a gdy po chwili znowu dawniejsze miejsce przy ogólnym zabierały stoliku, Zofija rączkę Emilki uścisnęła serdecznie.

— Już też za dni pore skończy się wszystko — ozwał się właśnie pan Salezy, mówiąc o ostatkach.

— Czy pan Salezy tańczący? — zapytała pani Sielska.

— A jakże pani dobrodziejko! — zawołał Sutkiewicz — doskonale wywija poleczki.

— Tak, trochę, nie bardzo.... — jąkał się niby skromny kawaler.

— Ale co tam! zawołany z niego danser, powiadam pani dobrodziejce. Czy nie tak, panno Emilijo?

— Pan Salezy bardzo dobrze tańczy — odrzekła Emilija zarumieniona.

I pan Salezy pokraśniał — a dla nadania sobie lepszego kontenansu zagadał:

— Ale co bole, to piękne bywają, trzeba przyznać.

— O, już to bo Poznań, to i Warszawie nie ustąpi! — zawołał pan Sutkiewicz.

— Ale! co Warszawa to nie Poznań — wtrąciła pani Sielska.

— No tak, Warszawa!

— Jo, bom nieciekawy wcale Warszawy — i pan Salezy poprawił się na krześle, jak gdyby tem wygodniej chciał sobie zasiąść w Poznaniu.

— Co tam Warszawa! dorzucił także pan Nicefor — kto zna miasta zagraniczne . . . . .

— A czy kuzynek znasz Warszawę? — zapytała Zofija.

— Słyszałem, czytałem, wiem — pan Nicefor ziewnął poza fularem.

— Dla Polaka, niemasz jak Warszawa! — zawołał Tadeusz powstając — byłem tam z ojcem przez kilka miesięcy. Co za życie towarzyskie! I strona umysłowa rozbudzona, i uczucie braterskie! I miłe, swojskie ogarnie ciepło, że od razu poczujesz, iż jesteś pomiędzy swoimi. — Byłem i ja za granicą; miałem różne stosunki, umyślnie w towarzystwa wchodziłem, ażeby je poznać, ale tam zimno było — jak to w ogóle bywa w obczyznie.

— Czy pan w czasie karnawału byłeś w Warsza-

wie? — zapytała pani Gorzycka, która już teraz o niczém innem mówić nie umiała.

— Przybyliśmy w końcu karnawału.

— Jakiż to tam świat piękny! Co za wystawa! Nieprawdaż? mówiła mi o tem hrabina *. Jakie tualety bogate!

— Bo też tam dużo bogatych zjeżdża się rodzin.

— Tak z prowincyi: z Wołynia, z Podola, z Ukrainy, najbogatsze domy — dodała pani Sielska, pokręcając głową — a tacy panowie, to i powinni być reprezentacyą.

— A co to tam młodzieży! — Ależ i u nas pięknie, i młodzież dzielna — uśmiechnęła się pani Gorzycka, grzecznie skinąwszy głową, panu Tadeuszowi, Salezemu i Niceforowi.

A pan Sutkiewicz kochanego Salesia zlekka w ramię uderzył i pani domu przytaknął. Rozumie się, że pan Salezy znowu nieco pokraśniał i za rudawą pochwycił bródkę.

Lecz zostawmy panią Gorzycką i jej wieczorek — boć tam już o niczem nie mówiono ważniejszem: gawędka wciąż w jednym kręciła się toku z wielkiem umęczeniem tych, których myśli po-za ten zaczarowany wybiegały okręg.

Szaro jeszcze było, gdy kuzynki z Wojciechowską

nazajutrz wychodziły, by według umowy pójść na mszą ś. do Bernardyńskiego kościoła.

W bramie dostrzegły Jasia, pokojowczyka pana Tadeusza, i jakiegoś mężczyznę w szaraczkowym płaszczu. Obadwaj z wielkiem zajęciem o czemś z sobą radzili. Na widok panny Zofji Jasio nagle odskoczył a szaraczkowy odwrócił się twarzą w przeciwną stronę. Lecz panienka w niewinności ducha i w dobrej wierze swojej, nigdzie złego nie odgadując, nie zważała na to bynajmniej, i swobodna, spokojna na ulicę wyszła.

Ranek był cichy, pogodny a droga ich dosyć daleka. Minęły rynek, Wodną ulicę, i właśnie na Garbary skręcały, gdy ujrzały powóz z bułaną czwórką, a z niego wychylła się twarz krągła, rumiana, z ciemnym zarostem.

— Pan Kłosowski — poszepnęła Zofija.

— Pan Kłosowski — powtórzyła Emilka. — Po jutrze wypłaca panu Tadeuszowi ośm tysięcy. Przyspieszył umyślnie termin wypłaty, ażeby rychlej.....

— Cicho! — pociągnęła Zofija Emilkę, i wskazała jej wejrzeniem idącą przy nich garderobianą.

— O tem już wszyscy wiedzą! — odszepnęła Emilija z uśmiechem. — Niemasz żadnej tajemnicy.

W kościele mało było osób. Zmrok poranny taje-

mniczo święte przysłaniał obrazy. Bliżej wielkiego ołtarza klęczał Tadeusz. Panny usiadły na środku kościoła.

Ołtarz jarzęcém zapłonął światłem; zabrzmiały organy, kapłan do ś. przystąpił ofiary.

Dwa serca młode — sobie oddane — gorąca, pełna wiary, przeczysta, połączyła modlitwa.

Po skończonem nabożeństwie wracały panienki przez plac bernardyński obok klasztoru Sióstr miłosierdzia.

Zofija spojrzała się na pięknie wyrzeźbioną figurę matki boskiej, ponad studnią, która klasztorowi czystéj dostarcza wody — i wdzięcznie wspomniała jej fundatora, Edwarda Raczyńskiego, który niejednem szlachetném wykonaniem, dobroczynnie Poznań obdarzył.

Przeszły przez tak zwane plantaże — plac ozdobny w klomby i trawniki; — minęły ulicę Strzelecką, Podgórną, i skręciły na Aleą, to jest: Na Wilchelmowską ulicę — która już po pare razy swoję zmieniała nazwę. Alea pustą jeszcze była, bo dopiero około południa ożywioną zostaje; przeszły pod oszronialemi drzewami — i skręciły do Bazaru, gdzie na nie matki czekały.

Dnia trzeciego opuściła pani Sielska z Zofiją Poznań.

Widziały jeszcze piękną suknią Emilki, którą w ostatni wtorek włożyć miała, bo młodzież w dniu tym śliczny składkowy dawała balik.

Dnia dwudziestego trzeciego lutego odebrał Tadeusz ośm tysięcy talarów od pana Kłosowskiego, w papierach bankowych; złożył je do bukszpanowej szkatułki, okutej w mosiądz, która niegdyś jeszcze ojcu jego w młodych służyła latach i zapuścił ją w dno podwójne podróżnej walizy, którą z tyłu do powozu przyszrubowano.

Młodzi przyjaciele namawiali Tadeusza, by jeszcze dzisiejszy wieczór z nimi pozostał, ale jemu pilno było do domu powrócić, bo i tak już niemal cały tydzień w Poznaniu przesiedział. — Odprowadzili go do powozu — i właśnie godzina piąta wybiła, gdy z hotelu wyruszył.

Już było po północy gdy stanął w Gruszczynie — gdzie poczciwy Mateusz, pilnujący dworu, powitał go najpierwszy. Zniesiono rzeczy, walizę; Tadeusz wyjął klucz z kieszeni, by ją otworzyć — ale jakież było zdziwienie jego, gdy ją znalazł otwartą. Sięga co tchu po szkatułkę — szkatułka zniknęła! — Pot zimny wystąpił mu na czoło.

Rzecz była niepojęta, jakim zginęła sposobem.

Tadeusz wysłał natychmiast Mateusza z uwiadomieniem do komisarza obwodowego, a sam świeżemi końmi napowrot do Poznania pogonił. Wezwał policyą — zrobiono wszystko, co tylko w podobnie nieszczęsnych czyni się wypadkach, ale nigdzie najlżejszej nie wyśledzono poszlaki. I dnia następnego, znękany, złamany, późno we wieczór do domu powrócił.

14.

Siłę charakteru
Kiedy masz poznać, jeźli nie w nieszczęściu?
Haghart i Sygna
(przekł. Juljana Bartoszewicza.)

W kościołku gruszczyńskim na mszą świętą dość liczna zebrała się gromadka: wiedzieli o stracie, jaką dobry pan poniósł, wiedzieli, że bez skutku wszelkich poszukiwań z Poznania powrócił, i żałowali go szczerze. To więc i pobiegli na odgłos dzwonu, pomodlić się do Ojca w niebie, do Matki przenajświętszej, do świętego Antoniego, by się do odzyskania zguby przyczynił. Godzina była rychła, przez okna od wschodu różana zorza białe zrumieniła ściany. Na ołtarzu świec parę paliło się ponuro.

Chłopczyk w białej komeszce zadzwonił. Sędziwy kapłan z kielichem w ręku obrócił się do kornie pochylonej gromadki.

Tadeusz do ś. przyklęknął komunii. Szukał pociechy w religii — i poddając się z pogodą duszy wyrokom Bożym, do pańskiego przystąpił stołu.

W koło szmer tłumiony błagalnej zaległ modlitwy.

W godzinę potem, w pokoju niegdyś pułkownika, siedział syn jego przy sekretarze, z wspartą na dłoni głową — a przed nim leżał list świeżo napisany do hrabiego*. Przeczytajmy ostatni ustęp.

»Opowiedziałem Ci, Panie, nieszczęsny wypadek, który nagłą a smutną zmianę położenia mojego zrządził. Gdy miałem zaszczyt poznać Ciebie, Panie, byłem szczęśliwym — i nie przewidywałem bynajmniej ciosów, które jeden po drugim we mnie niebawem uderzyć miały. Wówczas-to skutkiem rozmowy naszej o stosunkach obecnych w księstwie — jakoby z wieszczego natchnienia, wyrzekłeś do mnie, w szlachetności swojego serca. »Jeżeli kiedy zniewolonym będziesz sprzedać włość swoję, zechciej zgłosić się do mnie.« — Nazwałeś mnie przytem s w o i m m ł o d y m p r z y j a c i e l e m — i niechaj Ci, Panie, Bóg za to płaci, bo wyraz ten dotąd, niby jasną dla mnie jest gwiazdą.

Niestety! nie myślałem, że w tak krótkim czasie, zmian tyle w życiu mojem nastąpi, że będę korzystał z Twojego, Panie, poczciwego wezwania.

Jestem koniecznością finansową zniewolony sprzedać ukochaną ojcowiznę — a więc Ty, Panie, zostań się dziedzicem Gruszczyna! — Załączam wykaz hypoteczny — i z ufnością, naprzód, na każdy zgadzam się warunek.

Ale — Panie! — dozwól, bym jednę wielką, gorącą, dołączył prośbę. Zrzekłem się wszystkich w duszy wykonanych, najdroższych, osobistych nadziej. Życie moje odtąd, wyłącznie jedynieli sprawie ogółu poświęcam. A jednakżeż, Panie, proszę: Uczyń mnie dzierzawcą Gruszczyna, albo przynajmniej zechciej mi zarząd gospodarczy téj wioski powierzyć! —

Więcéj dodać niepotrzebują, bo Twoje szlachetne zrozumie mnie serce.

Gruszczyn
2 marca 185*. Tadeusz Dolewski.

Zwolna drzwi otworzono — i wszedł pan Kłosowski. Tadeusz się porwał i pobiegł ku niemu.

— Biedny, poczciwy, kochany chłopcze! — zawołał przybyły, a gdy spojrzał na oblicze młodego przyjaciela, blade, ale spokojne, z piętnem przecierpianych ciężkich kolei, ale pogodne jak zwycięstwo ducha odniesione nad burzą ziemskiego żywota, łzą mu napłynęło oko.

— I cóż tam, mój Tadeuszu, cóż teraz będzie? — zapytał z najszczerszem współczuciem.

Tadeusz w milczeniu podał mu do przeczytania list co tylko napisany.

Pan Kłosowski pismo z silnem przeczytał wzruszeniem i przez chwil kilka nie był w stanie słowa przemówić.

Tadeusz spokojnie przechodził się po pokoju.

— Ale . . . . Tadzio . . . Cóż teraz z Zofiją będzie? — zapytał nakoniec stary przyjaciel posępnie.

Tadeusz więcej jeszcze pobladł i nieco drżącym od powiedział głosem:

— Wszystkie najdroższe pragnienia serca . . . wszystko, wszystko dziś zniszczało, zamarło! . . . Wyrzekłem się Zofji — tchu w młodej zabrakło piersi.

— Ależ panna ciebie kocha!

Tadeusz usta zacisnął — mgła przeszła po jasnej źrenicy, potarł dłonią blade czoło.

— Panna! . . . Zofija! . . . — wymowił z wrzącem uczuciem. — Ale pani Sielska nie zezwoli nigdy, by córka co do finansowych widoków tak niepomyślny zawarła związek — i wyraz nieokreślonej goryczy przebiegł szlachetne Tadeusza rysy.

— Pomówię z nią, przełożę jej wszystko. Wezwę pannę . . . . .

— O pocóż to! Pocóż tego anioła na tak trudne a nigdy nieprzełamane narażać walki? — Pani Sielska jest nieugiętą. Stało się.

— Pojadę i pomówię. Zostaw rzecz tę mojemu sercu.

— O mój Boże! Wiem że wszystko będzie daremne. Powiedz jéj przynajmniéj, panie, że to przemówienie za mną wypłynęło z własnego popędu twojéj duszy szlachetnéj i życzliwéj . . . Och! jabym u stóp jéj o to żebrał szczęście — zawołał z rzewném uniesieniem — jabym niewolniczo każdy jéj rozkaz wypełniał; otoczyłbym ją najszczerszą miłością syna, gotową na wszelkie skinienie do poświęceń bez kresu! Ale znam panią Sielską: znam chłód jéj serca, jéj widoki liczebne, jéj charakter niezłomny.

— Ależ Zofija!

— Zofija zdolna skonać pod żelazną wolą matki. Zofija w anielskiem uczuciu dziecięcego przywiązania i uległości żadnych nie zna granic. Spokoju dla niéj i szczęścia możebnego, o wielki mój Boże! — Tadeusz odwrócił się do okna i dłonią oczy przysłonił.

— A jednakże pojadą do Zebrzezia, niech mnie piorun trzaśnie! — porwał się pan Kłosowski. — I to dziś jeszcze, zaraz . . . . Ale możeby lepiéj było rozmówić się wprzódy z żoną. Kobiety czasem nie

źle doradzić umieją. Otoż tak zrobię . . . Pojadę . . . Przecież tem nic nie zaszkodzę. Jadąc z powrotem wstąpię do ciebie. Więc do zobaczenia się, kochany Tadzio.

Po odjeździe jego Tadeusz list do hrabiego na pocztę wyprawił, a potem do zwykłych, codziennych udał się zatrudnień. Niedługa wszelako upłynęła chwila, gdy mu te gospodarcze pozerwano zajęcia: koczyk elegancki zaturkotał przededworem, a z niego pan Aleksander Golędzki wyskoczył.

— Zkądżeż się zjawiasz, Olesiu? — zawołał Tadeusz witając przyjaciela.

— Już od dni pięciu jestem w Golędzinie, ale sam, bo żona została się przy matce w Paryżu. Słyszałem o nieszczęściu które cię spotkało.

— Boża wola! — odrzekł Tadeusz spokojnie.

— Chciałem ciebie zaraz odwiedzić, ale posłyszałem żeś w te tropy znowu do Poznania pogonił. A to fatalny wypadek! Czy żadnego nie powziąłeś śladu?

— Żadnego.

— Cóż teraz poczniesz? Co myślisz zrobić? Boć ta summa miała cię od wszystkich interessów uwolnić.

— Sprzedam Gruszczyn.

— Otóż to! I najrozsądniej zrobisz. Wiesz? Ja także dla tego tak wcześnie wróciłem Kopfmann za

Golędzin bajeczną kładzie mi summę. Mogę gdzieindziej nierównie piękniejsze kupić dobra. Doskonały robię interes. Kopfmann właśnie na dni pare przybył do Lasowa i przezemnie czyni ci propozycyą, że i Gruszczyn chce kupić.

— Jemu nie sprzedam.

— Daje ci sześć tysięcy talarów więcej aniżeli każdy inny. Wypłaci zaraz wszystko gotówką, bo na zawołanie ma otwarty kredyt w Berlinie.

— Mówiłem ci, Olesiu, że jemu nie sprzedam, gdyby mi i dziesięć tysięcy więcej dawał.

— Dziecko z ciebie!

— Dziecko mojego ojca, a syn ojczyzny mojej.

— Piękne to są frazesa, ale nic więcej. Cóż ty sam jeden przeciwko takim nawałnicom podałasz?

— Mnie żadna tak gwałtowna konieczność nie zmusza, bym Kopfmannowi ojcowiznę moję zaprzedał. Mam innego kupca, Polaka.

— Ale czyliż ten daje ci tyle?

— Ośm tysięcy talarów niżej, aniżeli propozycya Kopfmanna wynosi. Pan z Lasowa już dziś do dnia jakiegoś żydoskiego przysłał mi ajenta — wymówił z goryczą — i odprawiłem go z kwitkiem. Sprzedam Gruszczyn hrabiemu * — i Tadeusz Aleksandrowi opowiedział rzecz całą.

— Dziecko! istne z ciebie dziecko! Poeta, entuzyasta! z pogwałceniem własnego szczęścia. I nie tylko własnego, osobistego — dodał Aleksander ze znaczeniem, głos opierając na każdym wyrazie — ale jeszcze niszczysz i szczęście anielskiéj istoty, która tobie każde uderzenie ufającego poświęciła serca.

Tadeusz pobladł śmiertelnie.

— Sprzedawszy Gruszczyn Kopfmannowi, a jestem pewien, że więcéj jeszcze nad to co sam ofiarował, potrafię wyciągnąć dla ciebie, uregulujesz interessa w ten sposób, że pozostanie ci dostateczna summa na kupno ładnéj wioski w Polsce, gdzie na pograniczu, a może nawet i w Księstwie, w oddaleńszéj od Poznania stronie. A wtedy pani Sielska . . . . .

— O przestań, Aleksandrze! — zawołał przerywając mu Tadeusz, z nagłym na bladem licu rumieńcem. — Odpowiem ci najuroczystszem zaklęciem, bo na święte popioły ojca: że nigdy tego nie spełnię, do czego mnie kusisz. Wczem mi wielki Boże dopomóż!

— Skoro tak, to już i słówka nie powiem.

— I ty sam, Aleksandrze! Przyjacielu mój! — zawołał młodzian dziwnie ożywiony. — Nie zaprzedawaj w ten sposób ojcowizny swojéj, cząstki ukochanej ziemi ojczystéj! Przecież i ciebie także żadna do tego gwałtowna nie nagli konieczność? kilka

tysięcy talarów mniej albo więcej, to tylko przez rok jeden zbytkownego wyrzekniesz się życia. Czyliż to nateraz zbyt wielka dla kraju z strony twojej ofiara? — O, mój Olesiu! — dodał dziwnie rozrzewniony — ileż to w tych wyrazach moich, mimowolnie, gorzkiej odbrzmiewa ironji! Niechciałbym ciebie niczem dotknąć, kochany, bo sam nad miarę zbolały, umiem łatwo każde dolegliwsze ocenić draśnięcie. — Widzisz, mój bracie — ciągnął dalej głosem przez tajone, wewnętrze cierpienie tłumionym. — Widzisz mój bracie, żem się wyrzekł jedynego, najdroższego szczęścia na ziemi, byle tylko działać sumiennie i zgodnie z najświętszą dla mnie przysięgą, wykonaną z własnej, dobrej a niezłomnej woli, z popędu własnego serca, w obec Boga i ojca mojego, niezapomnionego nigdy!

Tadeusz długo jeszcze w ten sposób mówił. Aleksander słuchał — słuchał z wzrastającem wzruszeniem — aż w końcu stanęło na tem: że przyrzekł odwlec sprzedaż Golędzina. — Postanowili czekać na odpowiedź hrabiego co do Gruszczyna, a skoro ta będzie pomyślną — o czem żadnej wątpliwość nie było — miał Tadeusz powtórnie do niego napisać z propozycyą by i Golędzin kupił.

15.

W nieszczęściach miłość warasta i mężnieje,
Piękniejsza jeszcze kiedy ją kaleczą.
Hagbart i Sygna
(przekł. Juljana Bortoszewicza.)

Otulona krótkiem czarném futerkiem, w kapturku z błękitném podszyciem, biegła Zofija, swobodna jak ptaszek, przez wieś, niosąc jakieś zawiniątko w szarym papierze.

Minęła domki wieśniacze, odpowiadając życzliwym wyrazem na: Niech będzie pochwalony.... — spotykanym po drodze chłopkom,— i skręciła ku ładnej murowanej szkole, bliżej młyna położonej. Okrążyła płotek, przyciętém cierniem przeplatany, i weszła do sieni w której, z izby na lewo, rozlegały się głośne nauczyciela wyrazy, któremi młódź wiejską pouczał i napominał.

Zofija przystanęła nieco, o potém z przyjaznym na różanem licu uśmiechem, weszła do izdebki na prawo.

Był to ładny pokoik: kilka krzeseł i kanapka czysto upranym powleczone perkalikiem; dwa stoliki brzozowe, takaż szafa, druga za szkłem z książkami; u okien białe, proste, muślinowe firanki, niewielkie zwierciadło, nad kominkiem poustawiane filiżanki, szklanki, imbrzyczki, — otóż i wszystko. W alkierzyku, przez drzwi otwarte, widać było łóżka białemi okryte kołdrami i kołyskę.

Pod oknem siedziała żona nauczyciela, młoda, miłego wejrzenia kobieta, w ciemnej perkalikawéj sukni, w czarnym kamlotawym fartuszku, z białym gładkim kołnierzykiem na szyi. A w koło obsiadły ją wiejskie dziewczątka, jéj uczennice: jedna szyła suknią z kwiaciastego neslu; druga koszulę; trzecia czepek z muślinu, czwarta wełnianą robiła pończochę i t. p. A przy piecu bawiła piastunka jednoroczne dziecię. Gdy Zofija weszła, wszystko powstało — i nauczycielowa i jéj uczennice — i wszystkie z szczerą radością panienkę witały.

— Co też to dla mnie za radość i surpryza — wymówiła gospodyni domu, odsuwając stolik od kanapy, by miłemu gościowi przystęp do niej ułatwić.

— Pamiętałam, że to dziś roczek mija mojemu chrzestnięciu i przyniosłam mu wiązarek. — Zofija rozwinęła papier i wyjęła nową sukienkę w kratę pą-

sową, zieloną i białą, dwa haftowane czepeczki, trzewiczki czerwone i t. d. i t. d.

— O moja droga, kochana pani, pamiętała o nas! — zawołała pani Wojczykowa z wyrazem rzetelnej wdzięczności.

— No, Józinko, chódź-że do mnie! — zawołała Zofija, wyciągając ręce do ładniuchnej, pyzatej dzieweczki. Dziecię się uśmiechnęło i chętnie do chrzestnej mamy poszło. Włożyła mu na główkę czepeczek z różową wstążeczką i serdecznie świeżą wycałowała twarzyczkę.

— Przyniosłam też i parę książek dla pana Wojczyka — wymówiła następnie Zofija, wyciągając pare broszur z kieszeni.

— A to go zaraz zawołam — i pani nauczycielowa przywołała męża.

Z wdzięcznością przyjął i on podarek od dobrej panienki, która nieraz takim wsparła go datkiem; przejrzał tytuły książek i wielce uradowany włożył je do szafy, mówiąc:

— Zaraz dziś wieczorem z roskoszą do czytania się wezmę. Niechaj Bóg dobry pani za tę dla nas łaskę płaci.

Zofija jeszcze chwilkę u poczciwych zabawiła

Wojczyków, a potem — ucałowawszy raz jeszcze uśmiechniętą do niej Józię — wesoła w sercu do domu wróciła.

Niezadługo potem zajechali przededwór: pan Salezy z Sutkiewiczem w przejeździe z Poznania.

Panie były w pokoju ręcznemi robotami zajęte.

Lica Zofji rumieniec niechęci przykrasił, jak gdyby serce coś złowrogiego było przeczuło. A pani Sielska, jak zwykle, chłodno ale nader grzecznie majętnego kawalera przyjęła.

— Czy panie już wiecie o nieprzyjemnym wypadku, jaki Tadzia Dolewskiego spotkał? — zaczął pan Sutkiewicz od razu.

— Cóż takiego? — zapytała matka, a serce córki zadrżało.

— Odebroł pieniądze od Kłosowskiego, ośm tysięcy talarów, i skradli je biedokowi.

— Skradli?! — zawołała z przerażeniem pani Sielska. Zofija odetchnąć nie mogła: niezdolna zrozumieć w pierwszej chwili, że ta straszna nowina całe jéj szczęście niweczy — że pieniądze, pieniądze, jedynieli pieniądze mają tak przeważnie na całą dolę życia jéj wpłynąć! —

— A tak, skradli — wymówił Sutkiewicz z szy-

derczym uśmiechem — skradli wszystko, bez śladu, co do grosza!

— Całą szkatułkę — dorzucił pan Salezy.

— Okropnie!

— To jest: mówią, że ta szkatułka skradzioną została — poszepnął Sutkiewicz, śmiejąc się zcicha.

— Jak to? Nierozumiem pana — zapytała pani Sielska, spoglądając na jednego i na drugiego.

— Bo to, pani dobrodziejko, skryte, niedocieczone są sprawą — Sutkiewicz się rozśmiał, a wtorował mu także i pan Salezy. — Te ośm tysięcy talarów przepadły, jak kamfora bez pieprzu. Rozstąp się ziemio! Policya jest czynna, obwieszczenia drukują, odbywają się poszukiwania, — ale to wszystko do niczego nie doprowadzi. Bo podobno, że pan Tadeusz był każdego wieczora w towarzystwie....

— To i cóż z tego?

— Grali tam w karty.

— A wysoko, grubo — dodał pan Salezy.

— Więc przegrał?

— Chciał wygrać, pani dobrodziejko — rozśmiał się Sutkiewicz. — Potrzebował więcej pieniędzy: złoto i bankocetle go kusiły....

— Więc przegrał te ośm tysięcy?

— Tak sobie szepcą, pani dobrodziejko. Ale my nic pewnego nie wiemy. Uchowaj Boże! — Widziałem wprawdzie, jak tam wchodził. Widziałem go i przy kartach....

— Jo som widywałem go skręcającego o kole poczty.

— Młody, niedoświadczony, pani dobrodziejko. A toć-że on nie pierwszy! — Lepiej zresztą o tem nie mówić, bo to mogłoby mu zaszkodzić.

— A jużci, po co mu szkodzić. Jo do nikogo nic nie będę muwił.

— Biedny chłopiec! Dorwał się pieniędzy i puścił je od razu. Otóż to tak samo, co dziecku nóż dać do ręki. Ale panie zachowajcie to dla siebie, prosimy.

— Pewno przed nikim niepowtórzymy — i pani Sielska zacięła zęby, jak gdyby już teraz chciała pokazać, że obietnicy milczenia ściśle dochować potrafi. Zofija kłuła igiełką po batyście, ale nic wyraźnie dojrzeć niezdołała: ściegi czerwone, błękitne, czarne, majaczyły przed jej oczami — a biedne serce zamierało w boleśnie ściśnionej piersi. Gawędka w pokoju toczyła się dalej, ale nie rozróżniała wyrazów, nie zrozumiała o czem mówiono: szum w uszach, zamęt w myślach, trwoga w duszy, odejmowały jej niemal całą władzę umysłu.

Panowie niepogościli długo, i właśnie jedną odjeżdżali stroną, gdy z drugiéj pan Kłosowski zawitał.

Zofija badawczo, ze drżeniem na wchodzącego spojrzała: był zmieniony i smutny. Spotkały się ich oczy, i pan Kłosowski więcéj jeszcze spochmurzał. Zofija zbladła jak lilijka.

— Pan zapewne zmartwiłeś się niezwyczajnie, nieszczęśliwą przygodą pana Tadeusza — zaczęła gospodyni domu zaraz po przywitaniu.

— Niezmiernie, pani dobrodziejko. Jadę właśnie od niego. Znalazłem go nad wszelkie spodziewanie dziwnie zrezygnowanym: ukorzonym przed wolą Bożą, spokojnym, nieugiętym pod tym ciosem dotkliwym — prawdziwie uwielbienia godnym. To niepospolita jest dusza!

Pani Sielska znowu zacięła zęby. Zofji lica lekki skrasił rumieniec. Matka tłumaczyła sobie tę moc duszy młodziana, posłyszaną co dopiero wieścią o przegranéj w karty. Zofija w nim bohatyra widziała.

Pan Kłosowski zaczął cały wypadek szczegółowo opowiadać. Pani Sielska słuchała w milczeniu, ale z wyrytém na twarzy niedowierzaniem. Zofija umiała w rysach matki czytać — i szybko do drugiego wybiegła pokoju, by łzy ukryć przepełniające jéj oczy — a łzami ulżyć strasznemu ciężarowi biednego serca.

W bawialnym pokoju chwilowa nastąpiła cisza — aż znowu pan Kłosowski zaczął:

— Interessa naszego młodego przyjaciela, oczewiście przez ten nieszczęśliwy wypadek wcale niepomyślny wzięły obrot.

— Sprzeda Gruszczyn i resztę co się jeszcze okroi, znowu puści.

— Znowu puści? — pochwycił Kłosowski zdziwiony — Tadeusz nic nie puścił, nic nie roztrwonił.

Pani Sielska zęby zacięła, ale widocznie było, że jakąś niekorzystną o młodzianie wiadomość powzięła.

Matka Zofji należała do tych osób, które zawsze prędzej złemu, jak dobremu uwierzą, jakkolwiek sama prawą była kobietą. Jest-to zapewne cechą ludzi materyalizmowi oddanych.

— Czy pani dobrodziejka posłyszałaś co na niekorzyść mojego pupila? — zapytał Kłosowski, bo jakkolwiek nie wielki fizyonomista, wyczytał to jednak z jéj twarzy.

— Hm! Jednemu panu tylko to powtórzę. Podobno, że pan Tadeusz w karty swoję puścił fortunę, a przyjaciele jego rozgadali, że okradzionym został.

— Potwarz! niecna powtarz! Klnę się honorem! — krzyknął Kłosowski i porwał się z krzesła, rumiany i cały wzburzony. — Przy nieszczęściu jeszcze i

potwarz! Na oznaczenie takiéj nikczemności w słowniku polskim wyrazu niemasz. Któż to pani powiedział? Zapewne panowie Salezy i Sutkiewicz?

— Tego panu nie powiem, kto mi o tém mówił. A dla pana Tadeusza zapewne lepiéj będzie gdy tego nie rozmażemy.

— Nie rozmażemy?! Tu niemasz co rozmazywać! Tu niemasz co taić! Tadeusz nic nagannego nie popełnił: a raczéj wzorem dla drugich być może. Jeżeli więc k t o ś nikczemną na niego rzucił potwarz, to za tę podłość przykładnie powinien być skaranym — pan Kłosowski dłoń silną uniósł, jak gdyby jéj w téj sprawie co rychléj pragnął użyć.

Pani Sielska zarumieniła się nieco i znowu usta zacięła.

Nastąpiła spokojniejsza, cichsza rozmowa. Zofija w drugim pokoju, przed biciem strworzonego serca wszystkiego dosłyszeć nie mogła: zrozumiała tylko, że pan Kłosowski całą duszą za Tadeuszem przemawiał. Pani Sielska niekiedy krótkie i suche odpowiedzi dawała. Potem dosłyszała wyraźniejszą odpowiedź matki.

— Wierzę, że jest dobrym człowiekiem. Życzę mu z duszy jak najlepiéj. Ale, jeżeli miał co do Zofji jakie nadzieje, to niechaj się ich wyrzecze. Córka moja

tak znacznego nie ma posagu, a ja na niedostatek poświęcać jéj nie mogę.

Zofija już daléj nie słuchała — i z tłumionym w piersi jękiem do ogrodu wybiegła. Drżąca stopa powiodła ją w stronę gdzie ponad żywopłotem droga do Gruszczyna prowadzi. Była odwilż — ale Zofija bynajmniéj nie zważała, że prunelowe bóciki nasiąkną wilgocią; i bynajmniéj nie czuła, że wiatr zimny szafirową przeszywa sukienkę. Po długiéj dopiero chwili posłyszała nadjeżdżający powóz: przecież doczekała się pana Kłosowskiego!

Poczciwy Tadeusza przyjaciel zobaczył biedne dziewczę bledziuchne, zapłakane, zziębnięte — a smutne jak na śmierć.

— Stój! — krzyknął rozżalony serdecznie i z powozu wyskoczył. — Pani się zaziębisz — i ujął drobną, niemal zlodowaciałą rączkę pamienki.

Zofija z tak bolesnym wyrazem główką kiwnęła, że poczciwcowi aż świeczki w oczach stanęły.

— I cóż mam jemu powiedzieć? — zapytał zcicha, bo przecież się domyślał, dla czego Zosia ponad żywopłotem ziębła.

Bledniuchne lica panienki nagle pokraśniały.

— Powiedz mu, panie — odrzekła zaledwie dosłyszanym głosem, że nigdy wbrew woli matki mojéj nie

pójdę... Ale, że jemu wierną pozostanę do grobu. Bóg miłosierdzia może stałość naszą nagrodzi.

Pan Kłosowski obiedwie rączki panienki z całego serca uścisnął.

Zofija szybko do domu wróciła — ale biedaczkę zabolała głowa, dostała mocnej gorączki i położyć się musiała.

Tadeusza odpowiedź ukochanej błogiem przejęła uczuciem — szczęściem prawdziwem.

Nazajutrz konno wyjechał w pole. Skręcił ku Zabrzeziu, pogonił do brzezinki, by chociaż z oddali, widzieć lubej mieszkanie. W tem zaturkotało na drodze; siwki panie Sielskiej pospieszały z doktorem: panna Zofija ciężko w nocy zasłabła. Doktor lękał się zapalenia.

Długą chwilę pozostał Tadeusz w miejscu. Zamglonem okiem śledził dwór zabrzeski — strwożone serce stygło mu w piersi. — Potem zwolna, jakoby ołowianym przytłoczony ciężarem, wlókł się bez drożem przez pola.

Wieczorem, przy jednej świecy łojowej siedzieli nauczyciel Wojczyk i jego żona: pierwszy znowu nad jakiemś ślęczał wypracowaniem, a kobieta pilnie szyła.

Stuknęło po-za oknem — drzwi zaskrzypły — i ukazał się pan Tadeusz. Małżeństwo powstało na powitanie gościa — i oboje poczęli nad jego stratą serdeczne a szczere wywodzić żale.

— Stało się, moi poczciwi państwo — odrzekł Tadeusz spokojnie. — Na takie ciosy jestem wytrwałym. — Ale — dodał nagle zmiękczonym głosem — powiedzcie mi, jak się miewa panna Zofija?

— Chora, byłam tam z południa — odrzekła Wojczykowa — ale myślę, że to przeminie — i spojrzała się współczuciem na młodziana. — Polecę tam teraz znowu i zaraz z wiadomością wrócę — dodała dobrodusznie, obrzuciła się płaszczykiem i wybiegła.

Nauczyciel tymczasem opowiadał panu Tadeuszowi o swojem nowém wypracowaniu, czytał mu ważniejsze miejsca — Tadeusz niby słuchał uważnie, ależ znękane myśli gdzieindziej błądziły.

A gdy pani Wojczykowa nagle wróciła — pobladł i porwał się, niezdolny dłużej serdecznego pokryć niepokoju.

— I cóż tam, moja dobra pani?

— Słaba, ma gorączkę, ale to minie! — odrzekła, pocieszając. — Pani bardzo zmartwiona, niespokojna, widziałam ją po raz pierwszy płaczącą. Podobno, że ją doktor trochę nastraszył. Ale zobaczy pan, że nic

z tego nie będzie złego. Chciałam przy panience noc przepędzić, ale pani nie dozwoliła. Wiem, że jutro lepiéj będzie.

Lecz te poczciwe słowa wszelako nie pocieszały Tadeusza. Odjechał bardzo smutny — dwór okrążył zdaleka, przystanął znowu pod brzezinką, patrzał się w okna oświetlone — i zapragnął wedrzeć się tam duszą w jego wnętrze.

16.

O! błędzie, dziećię fatalne rozpuszy!
Juliusz Cezar Szekspira.
(przekł. J. Paczkowskiego.)

Jaśkowa Jaskólczyna z przestrachem wyglądała męża: poszedł zrana do miasteczka — zmierzchło się a jego widać nie było. Wracał zwykle mocno podchmielony, odkąd zaczął nieszczęsnemu nałogowi pijaństwa ulegać; a często, gdy mu jakaś złowroga przyszła fantazya, zmierzał ku swojej niegdyś hubie i znaleziono go potem leżącego gdzie na polu albo w rowie. W takich chwilach zapowiadał zwykle, że się na gruszy przy stodółce swojej powiesić musi, bo mu o tem ciągle czart szepce; że nigdzie miru znaleść nie może, tylko jedynieli tam. Niemiałaż więc biedna kobieta najwyższej oddawać się trwodze?

Wybiegła na drogę i spotkała znajomego gospodarza, jadącego z miasteczka.

— Niech będzie pochwalony.... A nie widzieliście tam mojego? — zapytała kobieta.

— A dyć lazł tam przez pole ku Lasowu. Wołałem wej na niego, żeby wsiadł na wóz, ale i słuchać nie chciał.

— Bóg wam zapłać, Wojciechu — i kobieta, ocierając łzy fartuchem, skierowała się ku hubom lasowskim.

Już dobiegała swojej niegdyś zagrody, upatrując wszędzie męża, gdy spostrzegła na ścieżce wiodącej przez pole, że ktoś nadchodzi. Przystanęła za gruszą: nadchodzący odznaczał się wśród ciemni nieco jaśniejszą barwą, a gdy się zbliżył, poznała Jasia w piaskowym płaszczu z długą peleryną.

Dokądże on biegnie? I poco? — kobieta ciekawie śledziła go wzrokiem. Jasio wprost ku jej dawnej skręcił hubie i zniknął przy węgle stodółki.

Kobieta zcicha pomknęła za nim. W chałupie było ciemno, ale zaszła od tyłu i dojrzała w komorze światło: jasny strumień z okienka aż na szare połysnął pola.

W chałupie mieszkało teraz dwóch mularzy, przybyłych niewiedzieć zkąd, którzy u pana Kopfmanna robotę mieli. — Cóż więc Jasio u nich porabiał? I po co kryli się w komorze?

Przypomniała sobie, że poniżej okienka był otwór w ścianie, który sama cegłą, mchem i pakułami była zatkała. Przez ten otwór można było widzieć co tam robią w komorze. Więc go odszukała i ostrożnie odtykać poczęła. Niezadługo też celu swojego dopięła: doleciały ją jakieś głosy i mogła zajrzeć wewnątrz. Na środku stała beczka dnem odwrócona do góry; na niej paliła się świeca — i o mało, że nie krzyknęła, poznawszy pańską szkatułkę! — Z tej szkatłuki dawał jej pan kiedyś pieniądze, przypatrywała się wtedy ładnemu okuciu, i byłaby ją wśród wielu innych od razu poznała. A wszakżeż tę szkatułkę panu w drodze z takim dużym ukradli majątkiem! — Kobiecie tchu w piersi nie stało — ziemia paliła pod jej stopami — i zdawało jej się, że świat cały w koło tańcuje. Zrobiła znak krzyża ś. — zmówiła Zdrowaś Marya — koronkę do najświętszej Panny — poleciła się Bogu, i raz drugi przez otwór zajrzała. Przy szkatułce stała butelka — zobaczyła twarz Jasia — Werdy — i odskoczyła znowu.

Co tu począć? Co poradzić? — Kobieta ręce załamała, straszną obciążona tajemnicą. W tém nagle błysnęła jej myśl zbawienna — niby wyższe natchnienie: przeżegnała się i zwróciła z pospiechem ku sąsiedniej hubie brata Michała, położonej po drugiej

stronie drogi, wiodącej od Lasowa do Toporzysk. Dążyła co tchu starczyło — pot gęstemi kroplami spływał jej po czole. — A nuż złodzieje tymczasem znowu ze szkatułką umkną! — i jeszcze przysporzyła kroków, utykając co chwila po nierównej roli.

Dobiegła wreszcie drogi, już chałupa Michała bliziutko była, gdy ją śpiew głośny doleciał i pomiędzy topolami od strony Lasowa nadchodzącego dostrzegła człowieka.

»Pamiętne nam Sokołowo,
Tam za Wrześnią wieś.« ...

Rozległa się po pustem polu znana powszechnie w księstwie piosenka — stworzona przez jakiegoś ludowego pieśniarza. Kobieta przystanęła. Nocny śpiewak nadchodził, ochoczo gwiżdżąc przegrywkę.

»Oj z pól naszych, z Miłosławia....« Odbiło się tuż po-za topolą: zabielała rogatywka, i poznała stolarza z Toporzysk. Odetchnęła wolniej, ochłódła i poskoczyła ku niemu.

— Stolarzyczku! Majsterku! O laboga, ledwie żyję!

— A cóż wam to, kobiecino? I co tu tak późno robicie?

— Poszłam wej swojego poszukać... A znalazłam złodziei... Tam... w naszem dawnem chałupsku....

— Co wy gadacie! Złodziei?

— Iściutenka prawda, widzi Bóg jedyny i matka najświętsza!... O Jezu, aż niby powietrza zachwycić niemogę. Ale, niechno majsterek posłucha — i drżąc cała, bez związka i ładu, opowiedziała mu wszystko, jak umiała.

— A teraz wej biegnę do brata Michała po ratunek i radę, boć to naszego pana majątek!... I żeby te niewiary pochwycić.... Stolarzyczek niech poskoczy do Sobka, a ja polecę do Michała. Żeby nam jeno te rabusie nie zemknęły.

— A to spieszcież, kobiecino, co żywo! Ja, bo ni pal będę u Sobka — i świznął przez pole a kobieta ku bliskiéj podążyła hubie.

Michał Podolak zaledwie wysłuchał co mu siostra prawiła, a już pochwycił siekierę, krzyknął na syna, podrostka, i o ile mu nogi starczyły, pędził do złodziejskiéj zagrody. W komorze świetliło jeszcze; zajrzał przez otwór i zadowolony głową kiwnął. Poskoczył do drzwi wchodowych i z siekierą na ramieniu stanął przy nich na straży. Niezadługo nadbiegł Sobek z parobkiem; za nim nadciągnęli inni hubiarze, przez kobiety przywołani. Otoczono dom cały, a stolarz tymczasem pogonił na szkapinie Sobkowéj do komisarza obwodowego.

Straż sprawiała się cicho, a pilnowani raczyli się

grogiem, bynajmniej nie przeczuwając, jaka dola nad ich występnemi zawisła głowami.

Komisarz obwodowy, człowiek czynny i sprężysty, wziąwszy żandarmów, natychmiast zjechał.

Złoczyńców na gorącym schwytano uczynku. Pieniądze pana Tadeusza jeszcze były nietknięte. Prócz tego znaleziono w komorze różne inne rzeczy skradzione poprzednio.

Jasio przyznał się od razu: że przed wyjazdem z domu klucz od walizy na wosku odcisnął i Werdzie oddał, który w Poznaniu taki sam zrobić kazał. Opowiedział, że gdy koczyk zatrzymał się przy domku szosowym, Werda, ukryty za krzewiną ponad drogą, szybko przyskoczył, walizę otworzył i szkatułkę wyjął. On zaś, Jaśko, udał jakoby postronek od barczyka był odpięty i guzdrał się długo, by Werdzie dość czasu do spełnienia kradzieży zostawić. To wszystko, rozumie się, że naprzód ułożonem zostało.

Werda milczał ponuro i na żadne pytania odpowiedzieć nie chciał.

Właśnie żandarmi wkładali mu kajdanki na ręce, gdy we drzewiach pan Tadeusz stanął, powiadomiony przez stolarza, który, sprowadziwszy komisarza, jak strzała do Gruszczyna popędził.

Spojrzał się na Jasia z wyrazem głębokiego żalu.

Chłopak twarz w dłoniach ukrył i głośnym wybuchnął płaczem: młody zbrodzień niezdołał przenieść wejrzenia zdradzonego dobroczyńcy swojego.

Pod strażą, złożonej z kilku chłopów, zabrali żandarmi: Werdę, Jasia i dwóch mularzy, wraz ze skradzionemi rzeczami, do obwodowego miasta — i znowu głucha cisza opuszczone zaległa domostwo.

Z poza krzaków wygramoliła się teraz jakaś ciemna postać i podeszła pod chałupę: błysnęło wśród nocy, potem zalśnił jasny punkcik na słomianym dachu. Gwiazdka się zwiększała — płomień strzelił w górę — i w mgnieniu oka pożar załunił daleko. Jaskrawe światło padło na twarz zbladłą wieśniaka, skulonego pod gruszą, który ponuro, z pod czoła zakrytego kapturem, na szerzący się patrzał płomień. A dalej na przerażoną chłopkę, bladą, znękaną, która upadłszy na kolana, ręce wzniosła ku niebu. Patrzała się z bólem w duszy, lecz suchem okiem na tę strzechę, gdzie im dawniejsze lata tak szczęśliwie ubiegły; którą potem lekkomyślnie postradali, zawierzając nieogłędnie podstępowi niecnemu. Zniszczało ich szczęście i spokój domowy, a złe zagnieździło się niczem niepokonane. Strzecha poczciwych rodziców stała się kryjówką złodziejską, a teraz chłonił ją pożar roznieconey dłonią szaleństwa i rozpaczy.

Kobieta jękła boleśnie. Zdala posłyszano zbliżające się głosy na ratunek biegnących.

— Jaśko! Jaśko! chodź do doma! — wrzasnęła przerażona i przyskoczyła do wieśniaka, który pod gruszą z niemą a dziką namiętnością spoglądał na swoje dzieło zniszczenia.

— Nie pójdę! — obryknął się Jaśko i wzrok ponury w pożarną wlepił łunę.

Kobieta znowu uklękła, dobyła skaplerz ś. i drżąc cała jak listek osiny, z przerażenia i zimna, modlitwę do przemienienia pańskiego sinemi zmówiła ustami.

Zajął się chlewik i stodółka. Na chałupce dach runął.

Jaśko przytłumiony krzyk wydał — zaklął ztraszliwie — a potem dał się żonie uprawadzić przez pole.

Sąsiedzi nadbiegli, lecz byli tylko świadkami, jak resztki przeklętej zagrody obróciły się w perzynę.

Nadjechał i nauczyciel Wojczyk z kilkunastu chłopami z Zabrzezia — ależ co tu było ratować? —

Gromadka przy tlejącém pogorzelisku zebrana opowiadała sobie teraz szeroko o odkrytém złodziejstwie — o zbrodniarzu Werdzie — o niegodziwym Jasiu — i że poczciwy pan Dolewski w Gruszczynie, za wolą Bożą i przyczyną ś. Antoniego, swoję odzyskał zgubę.

Nazajutrz około południa Tadeusz do Mystkowic pospieszył, by życzliwych sobie przyjaciół powiadomić o szczęśliwem wykryciu ukradzionej szkatułki.

Ale dla nich to już nowiną nie było: fama stugębna o zgorzałej hubie i towarzyszących temu wydarzeniu okolicznościach, rozbiegła się niebawem szeroko — daleko.

— Zosia chora a matka serdecznie jéj chorobą zmartwiona. Nasadziłam też na nią doktora — wymówiła pani Kłosowska. — Jedziemy zaraz do Zabrzezia. Uleczę od razu Zosię — i z matką wszystko odrobię, że i nie będzie potrzeba fatygować naszéj sędziwéj sąsiadki w Iłżycach.

Tadeusz smutno głową pokręcił.

— I jeszcze smutki i zwątpienie? O wieku zwątpień i niewiary! — Wyraźna przecież łaska Boża nad tobą, mój panie Tadeuszu: opatrzność widocznie kierowała wszystkiem. Przyjąłeś Jaskółków do siebie. Jaskółka właśnie wczoraj musiał się upić i pojść do swojej dawnéj chuby, biedaczysko. Kobieta pobiegła, by go poszukać i niechcący, zobaczyła tego ladaco Jasia — i wyśledziła wszystko. Twój anioł-stróż ją prowadził! — I jeszcze wątpisz o swojem szczęściu? — Stasiu, każ zaprzągać. Dysio! niechaj mi podadzą

salopę. Miciu! mój kapturek. Niunio! podaj mi zarękawek. Lucio, bądź grzeczny. Jedziemy zaraz, a pan Tadeusz za nami pospieszy — i podała mu rękę, którą Tadeusz z wdzięcznością do ust przycisnął.

ZAKOŃCZENIE.

Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomoże!
Syrokomla.

Zofija ciężką noc przypędziła: biedaczka cierpiała i fizycznie i moralnie.

Cicho w małym było pokoiku. Zielone story dzienne przytłumiły światło. W białem łóżeczku leżała Zofija z wypieczonym na licu rumieńcem.

Strwożona pani Sielska właśnie jednemi wydaliła się drzwiami, by do doktora napisać, gdy drugiemi ostrożnie Wojciechowska weszła.

— Cóż powiesz, Wojciechosiu? — zapytała Zofija łagodnie.

— Pani nie śpi?

— Nie, moja kochana.

— Nauczycielowa radaby się z panią widzieć. Czy może przyjść?

— I owszem. Poproś ją.

Pani Wojczykowa z uśmiechem na ustach przystąpiła do chorej i uścisnęła jej rączkę gorącą.

— Dzień dobry, mojej pani kochanej. A co też nowin? Czy pani już słyszała?

— Nic nie wiem.

— Zgorzała w nocy huba na lasowskiem polu....

— O tem wiem, bom nawet łunę z mojego okna widziała.

— Otóż wykryto tam złodziei, którzy skradli szkatułkę pana Dolewskiego....

— Pana Tadeusza! — zawołała Zofija, podnosząc się nagle ożywiona.

— I znaleźli szkatułkę ze wszystkiemi pieniędzmi.

— O mój Boże! — młoda dziewczyna ręce do modlitwy złożyła.

W tem zaturkotało przededworem.

— Któż to? — zawołała, siadając na łóżku.

— Pewnie po doktora jadą — odrzekła Wojciechowska.

— Więc odebrali szkatułkę, moja dobra pani Wojczykowa?

— Już ją ma pan Dolewski.

— Ale czy to tylko prawda? zawołała z niedowierzaniem, składając dłonie.

— Najprawdziwsza prawda. Mąż mój pojechał do ognia a ztamtąd do Gruszczyna, by od samego pana Tadeusza dowiedzieć się o wszystkiem — i nauczycielowa po szczególe cały opowiedziała wypadek, dodając w końcu: Podejrzewają, że Jaskółka sam chałupę w pijaństwie podpalił, bo widziano, jak żona w czasie pożaru prowadziła go przez pola do domu. Ludzie przytem — jak to zwyczajnie lud wiejski — dziwne wygadują rzeczy: że z pogorzeliska trzy czarne wzleciały kruki; że Werda był Cygan, czarownik, i wszystkich, kogo tylko zechciał, otumanić potrafił; że Jaskółka od dawna swoją postradaną przeklął hubę, a więc i lepiej, że zgorzała, chociaż to na tem miejscu zawsze już złe będzie kusiło. — Dziś rychło bardzo był ksiądz z panem Jezusem u niego. Mąż mój nocował w Gruszczynie i dopiero co powrócił. Obydwaj z panem Dolewskim byli u chorego. Pan go pocieszał i biedną jego kobietę, jak tylko mógł najlepiej. Sprowadził doktora, ale biedaczysko podobno, że wieczora nie dożyje. Ksiądz proboszcz Zarzecki po mszy ś. piękną przy ołtarzu z tej przyczyny powiedział naukę: wystawił smutny przykład z Jaskółków, zbrodniczy wpływ Werdy i Jasia lekkomyślne

poddawanie się występkowi. Wszystkich mową swoją aż do płaczu rozczulił.

Nauczycielowa jeszcze prawiła a Zofija z silném słuchała współczuciem, gdy zwolna drzwi uchylono i pani Kłosowska, rumiana i uśmiechnięta, półgłośno zapytała:

— Czy można wejść?

— Można! Można! — zawołała Zofija, wyciągając ku niej rękę.

Przyjazna sąsiadka, szybko przybiegła i serdecznie kochaną uścisnęła dzieweczkę.

— Wszystko dobrze! Wszystko jak najlepiéj! — szeptała jéj z radością. — Czy wiesz o Tadeuszu?

— Wiem, wiem!

— Jesteśmy tu oboje z mężem. Nagadaliśmy mamię co się tylko zmieściło: aż się rozpłakała. I koniec końców, że się dała przekonać i poczciwego Tadzia naszego na zięcia przyjmuje.

Panienka w przyjaznem zadrżała ujęciu.

— Pan Tadeusz niebawem nadjedzie. Tylko, żeś ty chora, biedaczko?

— Dziś już mi lepiéj... Już mi dobrze! Głowa boleć przestała, gorączka ustępuje... Wstanę, ubiorę się.... O mój Boże! Całą chorobę, jakby ręką odjął.

— Wojciechosiu! — zawołała pani Kłosowska — ubierz panienkę. Ja do mamy wracam, Zosinko, pocieszę ją zdrowiem twojem, bo zmartwiła się szczerze, a potem przyjdę po ciebie.

Niezadługo znowu zaturkotało. Zofji serce uderzyło gwałtownie, bo przeczuła, kto przyjechał — i niemal bezsilna na krzesło upadła.

Pani Kłosowska po chwili po nią wróciła. Zofija w ładnym czepeczku, w szafirowej okrywce, bledziuchna, z rzewnym na licu wyrazem, wyglądała, jak aniołek Boży.

— Niebożątko moje kochane, pobladło, zmizerniało! — i pocałowała ją w białe czoło. — Chodź-że teraz, dzieweczko, chodź! — wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do bawialnego pokoju.

Zofija z przytłumionem łkaniem w objęcie matki upadła.

Tadeusz z uniesieniem drobną rączkę dziewczęcia do ust przycisnął.

Zamienili pierścionki. Matka im ze łzą w oku pobłogosławiła.

W kilka dni potem otrzymał Tadeusz na list swoj odpowiedź od hrabiego. Brzmiała, jak się spodziewał. Szlachetny mąż zgodził się na kupno Gruszczyna, pozostawiając Tadeusza przy dzierzawie.

Ale téj sprzedaży już teraz potrzeby nie było. Więc Tadeusz, wynurzając mu swoję wdzięczność serdeczną, podziękował za jego szczere i poczciwe chęci. Sprawił za pośrednictwem swojem: że hrabia kupił Golędzin i Aleksandra tymczasowo na lat sześć dzierzawcą pozostawił — dopóki tenże interesów swoich nie ureguluje.

Tadeusz wpływa bardzo korzystnie na wszystkie kroki Aleksandra. Oby tego tylko pani Ida nie zniweczyła!

Nieszczęsny Jaskółka skończył we dwie doby po pożarze. Pan Tadeusz troskliwie opiekuje się wdową i sierotami.

Los tych nieszczęśliwych ludzi i zbrodnia Werdy wielkie na pani Wincentowéj Murawczyny wrażenie zrobiły i podobno, że pod opieką zacnéj matki męża, odtąd inną pokieruje się drogą.

Właśnie, gdy opowiadanie nasze kończymy, doszła nas wiadomość, że pan Salezy Piaszczewski oświadczył się wreszcie o pannę Emiliją Gorzycką.

A teraz powtórzmy z X. Piotrem Skargą.

»Nie puszczajże nas Boże, z obrony Twojéj, a daj mądrość na oddalenie tych niebezpieczeństw, które nad głowami naszemi zawisły!«

Siekierki,
W przeddzień nowego roku 1857.

KONIEC.

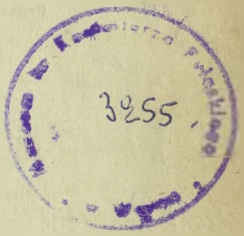

CZYTELNIA POLSKA
W CHICAGO

Drukarni Breitkopfa i Härtla w Lipsku.

3597